

## LISTY Z RZYMU

(opracowała JADWIGA SEMKOWICZOWA)

Gdy w r. 1881 papież Leon XIII otworzył niedostępne do tego czasu dla świata naukowego podwoje Archiwum Watykańskiego, przystąpiła zaraz i Akademia Umiejętności w Krakowie do wyzyskania dla badań nad dziejami Polski ogromnych zasobów znajdujących się w tych zbiorach. Już w r. 1885 wyjechali do Rzymu z ramienia Komisji Historycznej Akademii, celem rozejrzenia się w tymże Archiwum, dwaj jego delegaci Wł. Abraham i B. Dembiński, a w r. 1886 zorganizowana została pierwsza wyprawa naukowa, która rozpoczęła systematyczną pracę w formie tzw. Ekspedycji Rzymskiej. Gromadziła ona odpisy dokumentów do „Tek Rzymskich” Akademii, stanowiących materiał przygotowawczy do wielkiego wydawnictwa pt. *Monumenta Poloniae Vaticana* w dwóch seriach: średniowiecznej i nowożytnej. Seria średniowieczna, pozostająca pod kierunkiem wybitnego polskiego historyka Kościoła prof. Wł. Abrahama, objęła materiały Regestów Watykańskich i Aktów Kamery Apostolskiej<sup>1</sup>. Do pracy tej wyznaczano co roku nowych, początkujących uczonych.

---

<sup>1</sup> Wiadomości zaczerpnięte z artykułu Wł. Semkowicza, *Rozwój i stan obecny historiografii polskiego średniowiecza z uwzględnieniem studiów polskich we Włoszech*, „Nauka Polska” t. XXIII: 1938 s. 125—152.

Dla zorientowania się w całokształcie zadań i później uzyskanych przywilejów Ekspedycji Rzymskiej przytaczam nadto ustęp z „Kwartalnika Historycznego” R. XVII: 1903, s. 715: „Komisja historyczna odbyła posiedzenie dnia 23 X 1903, na którym przyjęto do wiadomości, że c.k. Ministerstwo Oświaty zatwierdziło układ zawarty za upoważnieniem Komisji przez prof. Abrahama z radcą dworu prof. Ludwikiem Pastorem, dyrektorem Historycznego Instytutu Austriackiego w Rzymie. Układ ten ma na celu z jednej strony wysyłanym z ramienia Akademii do Rzymu dla poszukiwań w archiwach i bibliotekach, głównie w Archiwum Watykańskim, członkom tzw. ekspedycji rzymskiej zapewnić wszelkie korzyści i przywileje wypływające z przynależenia do rządowego Instytutu historycznego; z drugiej zaś strony zawarować zupełną autonomię naukową tej misji historycznej polskiej w Rzymie. Według zawartego układu będą odtąd stypendyści Akademii należeć do Instytutu austriackiego jako tzw. Socii straordinarii, lecz co do przedmiotu i zakresu swych studiów i poszukiwań w

I tak w roku 1902/3 wyjechał do Rzymu, jako stypendysta Akademii Umiejętności, dla dalszych poszukiwań w księgach suplik papieża Eugeniusza IV, młody doktor Wydziału Prawa Uniwersytetu Lwowskiego, uczeń prof. O. Balzera, wykładającego prawo ustrojowe Polski, równocześnie przygotowujący się do ostatnich egzaminów z historii i geografii na Wydziale Filozoficznym, Wł. Semkowicz.

Tak wygląda sprawa od strony oficjalnej, ujętej następnie urzędowo w *Roczniku Akademii Umiejętności* z odnośnych lat oraz w osobnym *Sprawozdaniu* Wł. Abrahama<sup>2</sup>. Jednak w tym wypadku pozwolę sobie przytoczyć najistotniejsze wyjątki z listów Władysława pisanych w formie dzienniczka do jego ojca Aleksandra Semkowicza, profesora Uniwersytetu i dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej we Lwowie oraz do narzeczonej, co ułatwi nam zapoznanie się także z atmosferą owych czasów.

Otóż, przybywszy z początkiem listopada roku 1902 do stolicy Włoch, kazał on wieźć się fiakrowi do Collegio Polacco oo. Zmartwychwstańców, oddając tam odźwiernemu list polecający prof. Abrahama. Zaraz wyszedł do niego sympatyczny młody ksiądz Tadeusz Olejniczak, pełniący wówczas funkcję wice-rektora tego Kolegium i od tej chwili wziął go pod swoją serdeczną opiekę, zacząwszy — ponieważ reguła nie pozwalała księżom dawać u siebie pomieszczenia osobom świeckim — od wyszukania mu odpowiedniego mieszkania przy rodzinie włoskiego adwokata, w najzdrowszej dzielnicy Rzymu przy Via Aurora 23, z pięknym widokiem na ogrody Pincio.

Pierwsze wrażenia ze zwiedzania Rzymu były następujące:

....Miałem plan, trzymałem się jednak szyn tramwaju elektrycznego; w ten sposób zaszedłem na most Tybru, przeszedłem go i zwróciłem się ku Watykanowi. Ulice Rzymu, którymi szedłem, przestronne i czyste, kamienice kilkupiętrowe, mają na zewnątrz u okien zielone lub białe żaluzje drewniane, dachy zaś płaskie, na niektórych założone są ogrody. Liczne place ozdobio-

Rzymie będą podlegać wyłącznie kierunkowi wyznaczonemu przez Akademię (tj. jej komisję historyczną), dyrektora zaś Instytutu zawiadamiać tylko sumarycznie o swych zajęciach. Kierownicy natomiast ekspedycji, nie należąc do Instytutu austriackiego w Rzymie, będą mieli te wszystkie udogodnienia i przywileje, jakie członkom Instytutu przysługują<sup>2</sup>.

<sup>2</sup> Wł. Abraham, *Sprawozdanie z poszukiwań w archiwach i bibliotekach rzymskich do dziejów Polski w wiekach średnich za lata 1899—1913*, „Archiwum Komisji Historycznej PAU”, Seria 2, t. I 1923, s. 1:

„W pracach Ekspedycji brał udział długi szereg bardzo wybitnych współpracowników, a mian. dr St. Kutrzeba, dr St. Kętrzyński, dr St. Zakrzewski, dr Wł. Semkowicz, dr J. Ptaśnik, dr M. Loret, dr St. Kościłkowski, dr L. Boratyński, dr K. Baran, dr E. Długopolski, dr St. Zachorowski, dr A. Kłodziński, dr J. Rutkowski i dr Cz. Nanke”.

ne są obeliskami egipskimi, studniami ze wspaniałymi starożytnymi rzeźbami i pomnikami. Tak zaszedłem do olbrzymiej kolumnady, otaczającej plac św. Piotra. I oto oczom moim przedstawił się wspaniały widok. Na środku olbrzymi obelisk granitowy, z jednego kawałka, po obu jego stronach przepiękne fontanny, a wprost przede mną potężny gmach kościoła św. Piotra z kolosalną kopułą. Wszedłem do środka i obszedłem dokoła nawę kościelną, olśniewającą rzeźbami, złotem i marmurem. Nie przypastrywałem się bliżej niczemu, bo to sobie zostawiam na później. Dziś chciałem tylko obejrzeć wszystkie powierzchnie. Jakież odniosłem wrażenie? Estetyczne — potężne! A religijne? Żadne! Owszem, gdy wychodził z tego kościoła, kapiącego od złota, bogatego w marmury, przepyszne obrazy etc., przyszło mi na myśl, że Chrystus Pan pewnie inaczej wyobrażał sobie ów Kościół, który polecił wzniesić biednemu rybakowi i byłby pewnie zapłakał na widok tych miliardów, które pochłonęła świątynia papieska i takiej nędzy, która kryje ten świat Boży, byłby zapłakał na widok owej gwardii papieskiej stojącej u drzwi Watykanu w błazeńskich strojach i na widok łachmanów, kryjących wychudłe postaci milionów nędzarzy. Takie odniosłem wrażenie, pozostające w związku z moimi poglądami na świat, o których jeszcze nieraz pomówimy.

Lecz wracajmy do domu, bo zbliża się pora obiadowa. Poszedłem inną drogą, przez Corso Wiktora Emanuela, a o 1-ej byłem z powrotem. O 1 1/2 podano obiad: rosół, mięso, legumina ryżowa, winogrona, wino. Nasycony udałem się do mego pokoju i zacząłem pisać list do rodziców, ale mi przeskodził ks. Olejniczak, który mię wziął z sobą do Konwentu OO. Zmartwychwstańców i wprowadził do kościółka św. Sebastiana, gdzie wisi wiele obrazów polskich malarzy (Siemiradzkiego nieznanego obraz). Stąd udałem się sam na tzw. Monte Pincio. (Zapomniałem powiedzieć, że mamy dziś upał. Będzie do 20, a może więcej stopni w cieniu.) Jest to wzgórze, na którym znajduje się prześliczny ogród z egzotycznymi drzewami (aloesy, pinie, mające kształt olbrzymich parasoli, rycynusy, agawy, kaktusy etc.). Z ogrodu tego rozlega się wspaniały widok na całe miasto. Niezliczona ilość powozów jedzie wolno szeroką aleją ogrodową, jedne w tę, drugie w przeciwną stronę; w nich wystrojone signory i signorowie. Tłumy publiczności snują się w różnych kierunkach, żywo rozmawiając i gestykułując. W środkowym rondzie pod olbrzymią palmą gra prześlicznie muzyka wojskowa. Wtem słońce zachodzi (o 5 1/4), robi się od razu ciemno, muzyka ucicha, publiczność rozchodzi się, powozy wracają — i ja ku zdziwieniu mojemu zostaję prawie sam. Wracam więc do domu i ponieważ czuję się znużony kładę się do łóżka, marzę o swoich, marzenia zmieniają się w twarde sen nie wiem jak długi, aż mię budzi głos: Signore!

Signore! Otwieram oczy, cała rodzina Senesów przy mnie zgromadzona; zdziwiony nie mogę słowa przemówić, dopiero dowiaduję się, że długo pukali silnie do drzwi, chcąc mię prosić na kolację, a gdy nie otwierał, sądzili, że zachorował, dlatego sami otworzyli i weszli, by mię ocucić...

Dziś (11 XI) wstałem rano o 6 1/2, ubrawszy się i wypiwszy garnuszek mleka, poszedłem przed 8-mą do prof. Brzezińskiego, z którym pojechałem do Archiwum Watykańskiego. Tam przedstawił mię prof. Brzeziński urzędnikom, po czym dostawszy miejsce, zabrałem się zaraz do roboty. Przeglądam mianowicie ogromne tomy z prośbami, wystosowanymi do papieża Eugeniusza IV (za Warneńczyka) o łaski, urzędy kościelne, dyspensy etc. Szukam naturalnie tylko rzeczy odnoszące się do Polski. Z początku szło mi trudniej, zanim wczytałem się w dość niewyraźne choć duże pismo. O 12-tej poszedłem do Biblioteki Watykańskiej, gdzie przeglądałem spisy rękopisów tejże Biblioteki. Przed 1-szą wróciłem tramwajem do domu na obiad. Po południu poszedłem do Caffé Greco, gdzie przeczytałem z ogromną przyjemnością Dziennik Polski z 8. bm. O 5 1/2 poszedłem do prof. Brzezińskiego i z nim do hofrata Pastora, aleśmy go nie zastali...

Uczyć się zaczęę, gdy się wszystko ułoży...

Środa 12 XI zaczyna się znowu od pracy, po czym po obiedzie następuje obowiązkowe przedstawienie się hofratowi Pastorowi.

...O 6-tej odwiedził mię nowy znajomy z Archiwum, Włoch Angeletti, kopista archiwalny, młody, wesoły człowiek. Z nim poszedłem na miasto, wspaniale udekorowane chorągwiami i iluminowane. Na Piazza Colonna, gdzie stoi kolumna Antonina, grała muzyka wojskowa, której słuchał licznie zgromadzony tłum. Stąd poszedłem do Caffé Greco, gdzie poznałem kilku Polaków, którzy się tam co wieczór gromadzą na gazetę i pogadankę. Są to przeważnie malarze i rzeźbiarze, którzy tu bawią na studiach, a jest i pewien lekarz ze Lwowa, dr Podsoński. Gwarzyliśmy przyjemnie, po czym o 10-tej poszliśmy oglądać Colosseum przy księżycu. Trudno opisać wrażenie, jakie sprawia ten olbrzymi gmach, na pół zrujnowany, przy świetle księżycowym. Cisza była grobowa w tym trupie kolosa, gdyśmy weszli na arenę. Promienie miesiąca wpadając przez olbrzymie otwory w murach do wnętrza, nadawały mu tajemniczego wyrazu. W milczeniu oglądaliśmy trybuny cesarów i rycerzy, arenę, gdzie morze krwi ludzkiej i zwierzęcej się wylało, oraz podziemne klatki zwierzęce i korytarze, którymi trupy wynoszono. Sowa, gdzieś wysoko na murze jęczała głosem jakby ludzkim, jakby skargą umęczonych w tych murach gladiatorów i chrześcijan. Opuszczałem Co-

losseum z drzeniem w całym ciele i swobodnie odetchnąłem, gdy już był na zewnątrz murów...

Znajomość z drem Podsońskim zacieśnia się, we czwartek odbywa się wspólna wycieczka do Tivoli pod Rzymem, w piątek zwiedzanie Rzymu, wieczorem tego dnia gawęda w Caffé Greco przy grze w domino i w szachy. To znowu Zamek św. Anioła, podniosłe wrażenia w katakumbach, które swą prostotą najsilniej przemawiają do umysłowości Władysława, albo spacer przez Via Appia, skąd rozciąga się czarujący widok na Kampanię rzymską, w dali na sine góry Sabińskie, bliżej gaje cyprysowe i oliwne oraz resztki akweduktów rzymskich. Po powrocie oddaje się młodzieniec myślom o domu:

...Drzwi od mojego pokoju otwarte, aby przez nie mogły tym wyraźniej dochodzić do mojej duszy dźwięki sonaty Beethovena, pięknie granej przez starszą pannę Senesi. Sprawia mi to ogromną rozkosz i tęsknotę — ach prawda, nie wolno nam o niej pisać!...

Czasem młody człowiek po nauce zamyka okiennice, zapala lampę i sam zasiada do fortepianu:

...Granie to dla mnie marzenie. Prosiłem Senesich, aby mię zostawili samego. Na dźwiękach melodii przenoszę me myśli do Ukochanej Lesiuni, do Ukochanych Rodziców i Rodzeństwa, do Ukochanej Ojczyzny, którą tu na włoskiej ziemi kocham jeszcze goręcej...

Na prośbę panien Senesi grywa często polskie melodie:

...Włoszkom ogromnie podobają się nasze pieśni, zwłaszcza *Z dymem pożarów*. Ubolewają nad niedolą Polaków, nie lubią Niemców (i któż ich lubi?)...

Do Caffé Greco zagląda coraz rzadziej, choć nawiązał tam serdeczne stosunki z artystą rzeźbiarzem Madejskim, ale razi go, że do grona Polaków przyłącza się często towarzystwo niemieckie.

...To mnie ogromnie zraziło do tego kółka. Dla dwóch Niemców rozmowa toczy się w ich języku. Gdybyśmy weszli do kółka niemieckiego, czyżby Niemcy mówili z nami po polsku lub choćby po włosku? Wybieram się tam dziś specjalnie, aby tym patriotom polskim w oczy prawdę powiedzieć: to miejsce, gdzie Mickiewicz przesiadywał, plugawią obmierzłą mową!...

Odtąd umawia się z drem Podsońskim przeważnie w kawiarni Aragno, drugim miejscu spotkań artystów, literatów i naukowców. Tymczasem do pensjonatu pp. Senesich przybywają wciąż nowi goście,

zaś jadalnia ich staje się prawdziwą wieżą Babel, gdyż rozmowa przy stole toczy się w ośmiu językach — i nasz młodzieniec zmuszony jest mówić po niemiecku ze swym sąsiadem, Holendrem, sympatycznym 34-letnim inżynierem, Louisem Leewenbergiem, który mu opowiada wiele o swym ciekawym kraju.

Równocześnie, za pośrednictwem Angelettiego, poznaje Władysław Adama Darowskiego, stałego korespondenta dzienników warszawskich, krakowskich i lwowskich w Rzymie, człowieka około 40-letniego, trochę schorowanego na włoskich restauracjach, ale bardzo miłego, który zaczyna we wspólnych wędrówkach zwracać mu specjalną uwagę na tamtejsze polonica. Najczęściej jednak chodzi sam.

O przedpołudniu pisać nie będę, bo upływa ono codziennie jednostajnie w Archiwum i Bibliotece Watykańskich, po czym jadę na obiad, który dają natychmiast (o 1 1/2). Dzisiaj po obiedzie przespałem się małą godzinę, po czym uczyłem się do 5-tej. O tej porze ściemniło się, więc poszedłem przejść się w nieznanne mi dotąd strony miasta. Na ulicach żywy ruch. Sklepy rzeźbiście oświetlone. Snują się tłumy publiczności. Przekupnie wykrzykują donośnie, zachwalając swe towary. Najwięcej słychać „Cartoline” i „Cerini” (zapałki woskowe). Zaczepia mię kilku chłopaków z kartkami, po niemiecku. „Va, via” krzyczę i odpędzam natrętów. Zrobiwszy dobre koło, wróciłem do domu i uczyłem się dalej.

W dniu 24 XI, po powrocie z Muzeum Kapitołińskiego:

Ach! te rzeźby i posągi! Jak ja się w nich rozmiłowałem! Co za rozkoszy doznaję, patrząc na te martwe a tak pełne życia marmury i brązy!...

U nas już znacznie chłodniej, ale dni śliczne, słoneczne. Dziś mierzyłem na słońcu o 4-tej: +20°. W pokoju stale 13—14°. Zieloność przerzedzają już tu i ówdzie żółtawe listki, słońce wczesnie zachodzi, ale od Pincio nieraz jeszcze ciągnie woń kwiatów, a i na ulicach wiele ich roznoszą świeżych. Pomarańcze właśnie dojrzewają. Dziwny a piękny kraj te Włochy!

28 XI:

Ubiegłe dni niczym się nie różniły od poprzednich. Codziennie więc rano o 8-mej wychodzę z domu z teczką pod pachą, czekam na tramwaj, jadę około 20 minut, wysiadam koło kolumnady Watykanu i idę do Archiwum, spoglądając w podwórzcu św. Damazego w okna i piętra, zali w nich nie ujrzę twarzy starca — Ojca św. Choć z góry wiem, że nie zobaczę go, ciekawość przemaga i skwapliwie patrzę. Praca w Archiwum idzie mi już rażno. W ciągu trzech rannych godzin zdołam przejść cały tom (o 300 stronach) i wynotować zeń rzeczy ważne dla Polski. Znalazłem

ciekawy dla dziejów naszych wewnętrznych akt: sprawozdanie arcybiskupa gnieźnieńskiego z wizytacji archidiecezji z roku 1430, przesłane papieżowi, daje nam ono poznać stan ówczesnych parafii i kościołów polskich. O 11 3/4 kończę pracę w archiwum (pracę w bibliotece już właśnie ukończyłem) i idę piechotą do domu, gdzie zwykle zastaję list, kartkę lub gazetę. O 1-ej obiad, po którym gazetka i drzemka. O 3-ej wstaję do nauki i uczę się do 7 1/2... Przed kolacją gram pół godziny, a po kolacji piszę listy i przepisuję mą pracę geograficzną.

We wtorek po południu złożył mi wizytę p. Darowski, z którym się bliżej zaznajomiłem. Byłem z tego z jednej strony niezadowolony, bo mi zabrał drogi czas, z drugiej zaś strony przyjemnie spędziłem na pogawędce parę godzin. W środę wieczór umówiłem się z moim sąsiadem, Holandczykiem, abyśmy w czwartek zwiedzili parę kościołów. Sam mi to zaproponował...

Po muzeach i kościołach, w niedzielę 30 XI rano zwiedzanie wzgórza Palatynu, kolebki pierwotnego Rzymu, zaś

...po obiedzie poszedłem do kawiarni Ramazzotti, gdzie czekał już na mnie p. Darowski... Tu gawędząc i pijąc czarną kawę, przypatrywaliśmy się przez okna wystawy długim szeregom powozów, ciągnących do Villa Borghese. Za nimi szły całe kompanie studentów w różnobarwnych mundurkach z własnymi muzykami. Już bowiem od rana oznajmiały olbrzymie afisze „Gran festa pro Sicilia”: wielki festyn na rzecz Sycylii, którą nawiedziła straszna katastrofa powodzi. Pożegnawszy Darowskiego, poszedłem za tłumem i po kwadransie drogi ujrzałem wielki plac, zalany ludźmi i powozami a w głębi bramę parku Borghese. Z trudem docisnąłem się do kasy, by zakupić bilet wstępu za 50 cm, z jeszcze większym trudem przedostałem się do samego parku. Ale park to nie taki jak nasz lwowski. To las oliwny, piniowy, dębowy i cyprysowy, przerznięty licznymi alejami i ozdobiony licznymi fontannami. Owionęła mię świeża woń zieleni, i siedłem w tę rzekę ludzką, nie wiedząc gdzie i jak daleko, tak jak Winicjusz na festynie Nerona. Aż oto doszły mię dźwięki muzyki coraz to wyraźniejsze i ujrzałem olbrzymią polanę w kształcie elipsy, otoczoną piniąmi jakby wieńcem. Pochyłe jej brzegi zajął kilkudziesięciotysięczny barwny i gwarny tłum. W środku elipsy zbudowano trzy areny cyrkowe, dokoła każdej z nich stały i przygrywały kolejno muzyki wojskowe. Między arenami a publicznością była przestrzeń szerokości kilkunasu metrów, przeznaczona na wyścigi. Stanąłem sobie w miejscu, z którego widać było całą polanę i przypatrywałem się tej interesującej zabawie ludowej. Najpierw były wyścigi konne w strojach narodowych. Naturalnie Włoch pierwszy przybył do mety, witany grzmiotem

oklasków. Potem były przedstawienia cyrkowe (na które bawiący tu Sidoli ofiarował swe konie i swych błaznów) równocześnie na trzech arenach. Zabawne były wyścigi na kucykach (oprócz jeźdźców-ludzi poprzywiązywano do nich manekiny, które po drodze pospadały ku uciesze tłumu). Prawdziwie zajmujące były wyścigi na bigach, w strojach rzymskich. Szalona to jazda i zwłaszcza na zakrętach bardzo niebezpieczna. Przed końcem przedstawienia wyszedłem, aby móc zwiedzić cały park, który ma przeszło kilometr kwadratowy powierzchni. Część jego zajmuje ogród zoologiczny z klatkami pełnymi ptactwa zagranicznego, małp i innych zwierząt. W środku jego jest śliczne jezioro, wśród którego wznosi się świątynka Eskulapa, odbijająca się w przezroczu wody. Pływają tu łabędzie, kaczkę i inne rzeczne i morskie ptaki. Obchodząc dokoła park, doszedłem wreszcie do samego pałacu Borghese, chowającego w swym wnętrzu galerie rzeźb i obrazów. Obiecuję sobie zwiedzić go w czwartek...

## 8 XII.

Gdyby mi ktoś przed kilku laty powiedział: będziesz w Rzymie, otworzyłbym był szeroko oczy ze zdziwienia a i dziś nieraz sobie nie wierzę, załi to prawda, załi to jawa a nie sen jaki. Z każdym dniem więcej poznaję wartość tego miasta i ważność jego dla całego świata cywilizowanego, nie powiem dzisiejszą, bo ta znika stopniowo, ale dawną, w starożytności. To największe muzeum świata zawiera pamiątki 2500 lat przeszło; całe dzieje starożytne, średniowieczne i nowożytne złożyły w nich „swych uczuć kwiaty”. Poznać je, to dla historyka rzecz pierwszej wagi...

## 11 XII.

Ja w ostatnich czasach dużo pracowałem. W archiwum znalazłem znowu kilka ciekawych aktów dotyczących kapituły przemyskiej w połowie XV wieku. Nauka idzie pomału, ale za to przerabiam gruntownie (dzieje średniowieczne). I tak dziś rano całe poświęciłem nauce, wyszedłem tylko na pół godziny tj. na czas sprzątnięcia w pokoju (koło 8-mej rano), ale w tej półgodzinie dość widziałem. Oto poszedłem sobie na bliską Via Veneto, ulicę obszerną i piękną, gdy wtem ujrzałem zbliżający się orszak kawalerii otaczający powóz, w którym siedziała pani jakaś dostojna, starsza już ale przystojna blondyna. Patrząc, a przechodnie uchylają kapelusza przed orszakiem. Pytam jakiegoś jegomościa: „Chi è?”, a on mi na to: „La regina madre”. A więc to wdowa po Humbercie. Ale że taka młoda? Mówią, że się sztucznie odmładza i farbuje włosy, a otacza się od czasu śmierci męża orszakiem kawalerii z obawy przed zamachem. Idę dalej i wzrok mój pada na jakiś kościół. Patrząc do Gsellfelsa, którego zawsze noszę przy sobie i czytam, że to kościół Kapucynów. Wszedłem, aby go obejrzeć. Zewnątrz i wewnątrz nie przedstawia dla mnie interesu: pochodzi z XVII wieku,

a więc z czasu baroku, którego nie lubię, ale za to posiada kilka pięknych obrazów, z których najważniejszy jest Michał Archanioł Gwida Reniego... Braciszek Kapucyn zaprowadził mię następnie do tzw. Ossarium, tj. miejsca wiecznego spoczynku tych zakonników — w podziemiu. Oczom moim przedstawił się widok, od którego mało mi włosy na głowie nie stanęły. Oto pięć kapliczek udekorowanych kośćmi i szczątkami zmarłych, a tu i ówdzie szkielety w habitach wytrzeszczają straszne oczodoły. Uciekłem z tego przybytku śmierci co prędzej. O 3/4 na 10-tą siedziałem już przy książce, ale przed oczyma jeszcze mi stały trupie oczodoły i wyszczerzone zęby kapucynów...

Po obiedzie poszedłem zwiedzić pałac Barberinich...

## 15 XII.

W archiwum nie znalazłem w ostatnich czasach nic ciekawszego, ale poznałem w nim biskupa Simona, owego wygnańca z Królestwa Polskiego, o którym już słyszeliście. Około 60 lat wieku, jest ten kapłan-patriota tak ujmującym i sympatycznym, a przystępnym, że go wkrótce — choć z daleka — pokochałem. Ciekawe było moje poznanie się z nim. Siadał zawsze naprzeciw mnie, nie wiedząc, że go Polak. Aż oto w piątek, gdy szukał kałamarza, a ja mu podsunąłem mój, podziękował: „Merçi bien”, a ja mu na to: „Proszę najuprzejmiej”. Wypatrzył się na mnie i zawołał z radością: „Toś Pan Polak!”. A ja wstawszy, ucałowałem go w rękę i przedstawiłem się, po czym życzliwie rozmawiał ze mną, wypytując się ciekawie o pochodzenie, stosunki i prace.

Druga miła i zaszczytna dla mnie znajomość, to o. Smolikowski, generał Zmartwychwstańców. To poznanie odbyło się wśród następujących okoliczności: Zajmując się dziejami Polski, przeczytałem częściowo kilkutomowe dzieło A. Maciejowskiego: Historia prawodawstw słowiańskich. Przeglądając potem Indeks ksiąg przez Kościoł wyklętych, znalazłem tam i owe dzieło ku wielkiemu zdziwieniu, bo nie mogłem sobie przypomnieć, aby tam coś było przeciwnego Kościołowi. Będąc ostatni raz u ks. Olejniczaka, opowiedziałem mu to, a on mi wyszukał w papierach o. Semenki, byłego cenzora Kongregacji Indeksu, list Maciejowskiego do papieża (z roku 1859) z prośbą o wymazanie go z Indeksu oraz długą obronę przeciw zarzutom cenzora. Nawiasem tu mówię, że rzecz tę opracowuję do Kwartalnika Historycznego<sup>3</sup>... Nie mogłem jednak skorzystać z tych dokumentów, nie zasięgnąwszy przedtem pozwolenia o. Generała, do którego też w piątek poszedłem i pozwolenie uzyskałem, co więcej, zaprosił mię do biblioteki Kolegium i upo-

<sup>3</sup> Wł. Semkowicz, W. A. Maciejowski na indeksie. — „Słowo Polskie” Lwów 29 I 1904 nr 48.

ważnił do korzystania z niej. O. Smolikowski, wysoki, z krótko ostrzyżoną brodą, ma do lat 50 i posiada miłą twarz o wyrazie ascetycznym.

W sobotę po pracy w archiwum poszedłem oglądać dalszy ciąg Muzeum Watykańskiego. Dokończyłem mianowicie salę Statui...

W niedzielę rano wybrałem się tramwajem do kościoła św. Wawrzyńca za murami Rzymu. Jest to jeden z siedmiu pierwszych chrześcijańskich kościołów, w stylu bazylikowym. Na obszernym placu ozdobionym kolumną św. Wawrzyńca, wznosi się ta pierwotna budowa z VI wieku, za nią zaś cyprysowy las cmentarny. Oryginalnym jest dach przedsionka pulpitu na starożytnych oparty kolumnach. Wnętrze kościoła miłe czyni wrażenie. Obok starych z XIII wieku pochodzących fresków są tu i całkiem świeże, sprzed kilkudziesięciu lat. Piękne są prastare ambony oraz skromny a stylowy romański ołtarz. Zaszedłem i do krypty (podziemny kościół), gdzie wabi oko swą skromnością a przy tym pięknnością grób papieża Piusa IX. Potem obszedłszy dawny dziedziniec klasztorny, wyszedłem na nowy cmentarz rzymski, wprost olbrzymi, rojący się od grobowców, kaplic, posągów i skromnych grobów, płaskich, pokrytych płytą marmurową wpośród lasu cyprysów żałobnych. Wracając spotkałem parę pogrzebów, pędzących wesoło jakby na weselisko. Za trumną w powozach jechali krewni i znajomi zmarłego. Dwa pogrzeby bez krzyża i bez księdza!

Po drodze wstąpiłem do Muzeum Narodowego, założonego w dawnych termach Dioklecjana...

Wróciłem na obiad znużony i z lekkim bólem głowy, który ustąpił po poobiedniej drzemce i przechadźce po prześlicznym Pincio, skąd wróciwszy grałem sobie ze dwie godziny, bo pp. Senesi poszli do krewnych na kolację, tak że ja dziś sam z Holendrem spożywałem wieczerzę, po czym jeszcze dość długo graliśmy sobie i śpiewaliśmy: on mnie martwe choć melodyjne pieśni holenderskie, a ja jemu rzewne dumki i pieśni narodowe.

## 20 XII.

Przychodzą na człowieka chwile, w których traci zwykły sposób myślenia i popada w stan psychiczny, zwany pesymizmem. Otóż w taki właśnie stan popadłem ja w ostatnich dniach, a złożyły się nań liczne choć drobne przyczyny, które umysł wyczerpany kikutygodniową ciężką pracą umysłową z łatwością przytłumiły. Tak! Jestem wyczerpany i potrzebuję kilkudniowego wytchnienia i rozerwania się — jadę więc na święta do Neapolu. W takim zaś stanie pesymizmu wszystko przedstawia mi się brzydkim i czarnym, każdy drobiazg mię drażni i nauka — co najgorsze — nie idzie.

Żal mi się także robi, gdy wspomnę, że w tym roku nie zasiądem do wspólnego stołu wigilijnego, że nie będę mógł łamać się opłat-

kiem z moimi Najdroższymi, jak to 24 lat czyniłem. Ciałem o paręset mil od Was Najmilsi pierwszy raz w życiu oddalony, duszą i myślą będę ciągle przy Was. Chciałem początkowo w liście posłać opłatek, ale się dowiedział, że tu we Włoszech nie ma tego pięknego zwyczaju...

Wiedziony tymi samymi uczuciami ojciec pragnie także synowi osłodzić samotność, przesyłając opłatek i wiele czułych słów oraz uścisków od całej rodziny. Oto list ojca.

W chwili gdy list ten dojdzie do rąk Twych, święcić będzie cały świat chrześcijański wielką pamiątkę urodzenia Tego, który wskazał zepsutej i zwątpiałej ludzkości nowe idee, mające ją odrodzić — ideę wiary w jednego Boga, nadziei wiecznego życia i miłości bliźniego. Żywiej, aniżeli my barbarzyńcy północy, odczujesz ważność dnia, w którym moc struchlała gdy się Bóg narodził, stąpasz bowiem po ziemi uświęconej krwią apostołów i wyznawców nowej wiary, spoglądasz na biusty marmurowe dumnych cesarzy, które mimo artystycznej doskonałości z pewnością nie sprawiają takiego na widzu wrażenia, jak owa skromna postać rybaka-apostoła, którego noga schudła od pocałunków kilkudziesięciu generacji. Wśród tak wzniesłego nastroju, stykając się bezpośrednio ze światem pogańskim i chrześcijańskim, spożywać będziesz opłatek samotnie a nie wśród nas przy uczcie miłości, lecz jesteście przekonani, że w chwili tej myśli Twe unosić się będą nad domem rodzicielskim, który Ci śle takie życzenia, na jakie zdobyć się mogą chyba tylko tacy rodzice, co upatrują w Tobie nie tylko najlepszego syna, ale uosobienie wszystkich cnót młodzieńczych.

Wkrótce rozpoczniesz nowe życie, samodzielne, z lubą i ubóstwiającą Cię towarzyszką życia. Życzę Ci więc, byś szczęśliwie omijał kolce i głogi na tej nowej drodze życia, aby miłość i przywiązanie Lesi osładzało Ci chwile nieraz piołunem zaprawione; a gdy dojdiesz do moich lat, abys z taką dumą spoglądał na swych synów, z jaką my na Ciebie spoglądamy...

Tymczasem w dniu 21 grudnia składa wizytę Władysławowi ks. Olejniczak i zaprasza go na wilię do Kolegium OO. Zmartwychwstańców — zatem ten uroczysty wieczór będzie on mógł spędzić przynajmniej w gronie Polaków. A oto dzień willi w Rzymie.

„Rano kupiłem sobie bilet do Neapolu, powróciwszy zaś do domu uczyłem się aż do obiadu. Mówię o obiedzie, gdyż Włosi mają odmienne zwyczaje niż my. Nie znają oni łamania opłatkiem, nie znają kołęd, ale za to zamiast jak my wieczór, nadziewają się w południe. Zastawili też pp. Senesi cały szereg potraw i dwoja-

kie wino, z czego ja wierny polskim tradycjom niewiele spożyłem, kosztując po trochu wszystkiego. Po obiedzie na prośbę panien Senesi zagrałem im polskie kolędy, które się bardzo podobały. Nagrawszy się do syta, poszedłem przejść się na Pincio. Dzień piękny, słoneczny, ciepły, jakżeż więc nie skorzystać? Wiele też osób snuje się po palmowych alejach — wesoło, świeżo, wonnie, rozkosznie — tylko Ciebie tu mieć Najdroższa, by dzielić te przyjemności. Wróciwszy do domu, przebrałem się w anglez i poszedłem (przed 5-tą) do Kolegium polskiego na wilię.

Z sali gościnnej, w której zrzuciłem narzutkę, udałem się do refektarza, gdzie zgromadzonych było do 30 księży, samych Polaków. Ojciec Olejniczak, w zastępstwie chorego rektora pełniący funkcję gospodarza, przedstawił mi kilku starszym księżom, m.in. o. J. K. Giecewiczowi, którego prace historyczne są mi znane. Zająłem miejsce obok niego i cały wieczór prowadziliśmy ożywioną dyskusję historyczną. Tymczasem zaś podawano potrawy. Był więc tradycyjny barszcz z uszkami, trzy gatunki ryb morskich z jarzynami, pierożki ze śliwkami, owoce i herbata z tortem. Nadto dwa gatunki win znakomitych. Po tej dwugodzinnej sutej uczcie poszliśmy wszyscy na I piętro do apartamentów ks. Zaleskiego, arcybiskupa Teb i misjonarza Indii. Przyklękając na kolano, ucałowałem rękę tego księcia kościoła za przykładem innych. Wysoki, szczupły, do 60 lat wieku, ale pełen życia i wesołości. Mnie serdecznie uścisnął, mówiąc, że o mnie dużo już słyszał i dawno mi się spodziewał. Wkrótce rozpoczęła się zabawa w tombolę. Każdy z nas wybrał sobie 5 kartek z numerkami, potem przyniesiono dwie urny. Najpierw wyciągał pewien ksiądz numer z jednej urny, który odpowiadał numerom na kartkach, a zaraz potem drugi ksiądz wyciągał kartkę z drugiej urny. Numer na niej odpowiadał numerowi wygranej. Ja jak zwykle miałem szczęście. Na pięć numerów był tylko jeden próżny. Tak więc wygrałem nożyczki małe do paznokci, ceratową tekę na papiery, notatkę i kalendarz. Było wiele wyragnych, m.in. tort ogromny i wiele książek pouczających. Po skończonej zabawie siadł sobie ks. Arcybiskup ze mną na kanapie i opowiadał dużo ciekawych rzeczy z Indii. Po 10-tej pożegnaliśmy się, unosząc z sobą miłe wspomnienie zabawy. Udaliśmy się teraz do sali rekreacyjnej, gdzie śpiewaliśmy kolędy, a ja akompaniowałem. Potem zagrałem na fortepianie mazura i walca, a księża mieli ochotę pohasać, ale surowy o. Olejniczak nie pozwolił. Do 12-tej zabawialiśmy się rozmową. Zwłaszcza p. Pogorski (drugi obok mnie „cywil”), właściciel dóbr na Podolu rosyjskim, człowiek niesympatyczny, bo zbyt wysoko dmuchający, opowiadał ciekawe rzeczy o stosunkach chłopskich na Podolu.

Dzwonek wezwał nas o północy na pasterkę. Zeszliśmy do kaplicy, gdzie ks. Olejniczak w asystencji miał śpiewaną mszę św.

Przyznam Ci się Lesiuniu, że pierwszy raz w życiu byłem na pasterce, bo u nas ten wieczór poświęcało się zawsze uciesze rodzinnej, domowej. Tym bardziej wzbudziła we mnie ta msza św. niezwykły nastrój. O 1-szej skończyło się nabożeństwo i ojcowie zaprowadzili mnie do gościnnego pokoju na nocleg. Spałem wysłmieniście do 9-tej. Ubrawszy się, wstąpiłem na mszę św. do kaplicy, po czym opuściłem ten miły przybytek, któremu zawdzięczam tyle wspomnień...

Tego dnia po południu nastąpił wyjazd do Neapolu. Całą drogę towarzyszyły pociągowi Apeniny — fioletowe z czubami śniegiem oprószonymi i słońce przy końcu dnia zaróżowione na jasnym błękitnie nieba. Od czasu do czasu mijano stare miasta, co jakby ze skał powyrastały.

Przybywszy do Neapolu nie dałem się porwać zaproszeniom doróżkarzy, którzy mi wprost zamykali drogę, trzaskając biczami, ale poszedłem do tramwaju elektrycznego, który za 20 cm zawiózł mnie do hotelu Metropol, zalecanego mi przez Darowskiego. Zgodziłem pokój z pensją za 8 franków dziennie. Z początku zdawało mi się za dużo, ale zmienił zdanie po kolacji, która była wysłmieniata — książęca (rosół, ryba pieczona z kartoflami, puralda z ciastem, poledwica z groszkiem młodym, tort, lody, owoce). Wino extra znakomite (Capri białe) dobre przeciw febrze i malarii. Sala jadalna olbrzymia, na środku stół na 30 osób, po bokach familijne stoliki. Malowanie pompejańskie. Obok mnie Niemcy, naprzeciw Anglicy, za mną Francuzi...

1 I 1903.

...We wtorek kazałem się obudzić o 6 1/2 rano, chcąc o 8-mej wyjechać do Pompei. Ale ku zmartwieniu memu oznajmił mi hotelowy, że deszcz leje jak z cebra, co też istotnie, spojrzawszy na ulicę, sprawdziłem. Ha! nie ma innej rady, jak spać dalej i czekać do jutra. Wstałem więc po 8-mej i ubrawszy się nawet nie wyglądałem na świat Boży, aż dopiero zeszedłszy do sali jadalnej na śniadanie rzuciłem okiem na niebo i morze i oto ku radości ujrzałem niebo lazururowe a morze słoneczkiem oświecone i bardzo wzburzone. Co prędzej więc spożyłem śniadanie, by móc pociągiem o 10-tej wyruszyć do Pompei. Zanim jednak odjechałem, poszedłem na brzeg morza przypatrzeć się jego dzisiejszemu wyglądowi. Sirocco dał od strony morza tak silnie, że kapelusze musiałem nasunąć na uszy. Zbliżyłem się do bariery brzegowej, gdy wtem fala wody chlusnęła mi po twarzy i płaszczu. Odskokczyłem i odtąd z daleka przypatrywałem się tej walce morza z lądem, w której zwycięzcą było dziś pierwsze. Góry wody przeskakowały z łatwością barierę brzegową i zalewały ulicę. Świsł wiatru, huk, szum bałwanów walących w brzeg, wprost mię oszalały. Byłbym tak

stał jeszcze długo, gdyby nie ta okoliczność, że mam za chwilę jechać...

Droga do Pompei była tak piękna, że nie wiedziałem, na co pierwszej patrzeć: czy na lewo na Wezuwiusz i zastygłe potoki lawy, czy na prawo na morza wzburzonego fale. Po przebyciu kilku stacji i tunelu wykutego w lawie staje pociąg na miejscu. Wsiadłem i opędzając się przed nagabywaniem przewodników i hotelowców, poszedłem prosto drogą o jakie 200 kroków od dworca, gdzie jest wejście do grobu nagle zmarłego miasta. Kupiłem bilet wstępu za 2 liry i otrzymałszy urzędowego przewodnika, wszedłem w bramę miejską...

Nie będę przytaczać opisu wrażeń odniesionych przez naszego turystę w Pompei i w Neapolu, w którym tym razem bawił krótko, bo niebo zaciągnęło się chmurami na dobre, a trzeba też było przygotować notatki archiwalne dla przyjeżdżającego do Rzymu. prof. Abrahama. W Rzymie.

...po odpoczynku i rozrywce pracuje się z podwójną energią i zadowolaniem. Wrócił dobry humor i świeżość umysłu, z ochotą też zabrałem się do nauki, której jeszcze dużo przede mną. W Archiwum nie znachodzę jakoś nic ciekawszego, same drobne sprawy, mam jednak nadzieję, że niezadługo będzie obfitsze żniwo, bo zbliżam się do czasu, w którym Polska utrzymywała bardzo żywe stosunki z Kurią papieską, w sprawie unii Rusinów z Kościołem katolickim za króla Warneńczyka. Przyjemnie mi się teraz pracuje, bo mam towarzysza: przyjechał prof. Abraham. Dotąd znałem go tylko z katedry uniwersyteckiej, obecnie mam sposobność zbliżyć się doń osobiście i z dniem każdym go więcej lubię i poważam.

Jak z początku mego tu pobytu, uczęszczam znów po Archiwum do Biblioteki Watykańskiej, gdzie także robi się poszukiwania. Wracam cokolwiek później niż dotąd (o 1 1/2), po obiedzie czytam gazetę, po czym na pół godziny kładę się przespać. Już nie gram wieczór, czasem tylko w niedzielę, gdy jest czas. Po kolacji, jeśli nie piszę listu, czytam coś lub uczę się. Ministerium pozwoliło mi zdawać egzamin w terminie letnim. Jeśli zdrowie i siły pozwolą, to się uporam z tym materiałem do maja.

W niedzielę rano byłem w Muzeum Kircherianum. Jest to muzeum etnograficzne i prehistoryczne. Najbardziej interesowały mnie rzeczy ludów podbiegunowych, bo je poznałem teraz przy sposobności pisanja pracy.

Po południu byłem jak zwykle u Ramazzottiego, aby się widzieć i porozmawiać z Darowskim, po czym poszedłem złożyć wizytę ks. arcybiskupowi Zaleskiemu, ale zastałem go chorego w łóżku, więc zostawiłem tylko bilet i poszedłem na muzykę na Piazza

Colonna. Jest to jeden z najpiękniejszych placów Rzymu, punkt zborny dla towarzystwa i „corsa” wieczornego. Na środku stoi kolumna (stąd nazwa) Marka Aureliusza, przypominająca kolumnę Trajana. Jak na kolumnie Trajana stoi teraz posąg św. Piotra, tak miejsce Marka Aurelega zajął św. Paweł. Kolumna ozdobiona jest płaskorzeźbą wijącą się od podstawy do szczytu i przedstawiającą walki tego cesarza z Markomanami. Ciekawy widzieć tu szczegół. Oto piszą historycy, że gdy Rzymianie oblegali jedno z miast nieprzyjacielskich, zapanowała straszna posucha, której próśby i modlitwy do Jowisza nie zdołały odwrócić. Wtedy doniesiono Markowi Aurelemu, że w wojsku jego znajduje się garstka chrześcijan (było to ok. roku 120 po Chr.), którzy mogą prosić swego Boga o deszcz. Na polecenie cesarza odprawili chrześcijanie istotnie modlitwy i oto Bóg wysłuchał ich, zsyłając ożywczy deszcz na Rzymian a pioruny i burzę na ich wrogów. Miało się wtedy wielu Rzymian nawrócić. Otóż na kolumnie przedstawiony jest Pan Bóg w postaci brodatego starca, wychylającego się z nieba z rozpostartymi ramionami, z których pada deszcz. Nader ciekawy szczegół, ten tzw. przez Rzymian Jupiter Pluvius. Tu więc pod tą kolumną wysłuchałem kilku pięknie odegranych kawałków, po czym wróciłem do domu.

.....

W sobotę miałem po południu wizytę: prof. Abraham. Bardzo mu się podobało moje mieszkanie i w ogóle pomieszczenie — zaraz napisze do domu o odbyciu „inspekcji”.

.....

Dziś ciekawe święto w Rzymie: wigilia tzw. Epifanii, tj. Trzech Króli. Wszyscy życzą sobie „buona Epifania”. Jest w Rzymie wielki plac, Piazza Navona, na miejscu dawnego rzymskiego cyrku, w kształcie podłużnej elipsy. Na tym placu obchodzi Rzym wigilię Trzech Króli. Zaciekawiony opowiadaniem panien Senesi, poszedłem po kolacji koło 9 1/2 z Hollandczykiem zobaczyć tę uroczystość, która polega na tym, że na plac ten pospieszają ludzie bez względu na płeć, wiek i stan z trąbkami, tubami i innymi, odgłosy (nawet brzydkie) wydającymi instrumentami i wszystko to trąbi, gwizdże etc. Dokoła oświetlonego pochodniami gazowymi placu stoją budy jarmarczne, w środku zaś ten głośny, ruchliwy, barwny tłum. Już z dala dochodziła mię ta przeraźliwa muzyka. Zaciekawiony poszedłem w sam tłum, ale myślałem, że mi bębenki w uszach popękają. Wyobraźcie sobie kilkudziesięcioletni tłum grający na trąbkach, tubach etc. i to wprost do ucha. Zwłaszcza panowie paniom i na odwrót wrzeszczą w uszy. Gdy się pojawi na placu ładna panna, otacza ją banda mężczyzn i wszyscy wyją jej nad głową, przeciw czemu ona broni się w podobny sposób. Obszedłem plac kilka razy dokoła, nie biorąc udziału w tej bez-



mysłnej niemądrej zabawie, która trwa całą noc i zamienia się nad ranem w orgię. Są to niezawodne pozostałości starożytnych bachanaliów. Stosunki się zmieniły, a z nimi forma zabawy; krew ludu została ta sama. Wróciwszy do domu, piszę ten list. Z miasta dochodzą mię mieszane głosy dalekich trąbek. Dziwny kraj i obyczaj!

## 8 I.

W Trzech Króli umówiłem się z prof. Abrahamem na zwiedzenie miasta, ale wskutek nieporozumienia nie zeszłem się z nim (on na mnie czekał w kawiarni a ja byłem u niego w hotelu) i wróciłem do domu do nauki, która mi cały ten dzień szła doskonale — zrobiłem duży krok naprzód. Prócz historii ucę się teraz gramatyki polskiej porównawczej, tzn. przedstawiającej rozwój języka polskiego od najdawniejszych czasów w porównaniu z innymi językami słowiańskimi. Bardzo to zajmująca nauka i przyda mi się w moich późniejszych pracach naukowych.

W Archiwum znalazłem ciekawy list króla Jagiełły do papieża Eugeniusza IV z prośbą o urządzenie Kościoła na Kaszubach. W Bibliotece Watykańskiej przeszukuję pilnie rękopisy z XIII wieku, zawierające formularze różnych aktów.

Dziś uczyłem się do 11-tej przed południem. O tej godzinie poszedłem do kościoła św. Sylwestra. Odbywa się tu w ciągu oktawy św. Sylwestra codziennie nabożeństwo w innym obrządku i kazanie w innym języku. Złożyło się szczęśliwie, że właśnie na dziś, kiedy miałem wolny ranek, przypadło kazanie polskie, które wygłosił o. Olejniczak. Poprzedziła je msza św. w obrządku syryjskim; ja przyszedłem już ku końcowi jej, ale mogłem się jeszcze przypatrzeć temu ciekawemu ceremoniałowi i przysłuchać śpiewom monotonnym o charakterze wschodnim.

Na kazanie zgromadziło się wiele osób: Polacy i nie-Polacy. Pierwsi przybyli, by tu w tej wyspie wśród morza obcych posłuchać kazania w języku ojczystym, nie-Polacy przybyli, aby się przysłuchać dźwiękom tej dziwnej dla nich mowy. Mowa wypadła pod względem wygłoszenia blade, co przypisuję tremie młodego księdza, ale treść jej (o służbie Bożej) była dobra, logiczna i gorąca.

Dziś dzień śliczny, prawdziwie wiosną tchnący, słoneczny i ciepły, tak że w surducie chodzić można. Nie mogłem więc oprzeć się pokusie, jaką ta przyroda włoska (kokietka jak wszystkie Włoszki) — mi dostarczała i po obiedzie poszedłem na daleką przechadzkę z moim sąsiadem Hollandczykiem. Poszliśmy do bramy miejskiej zwanej Porta Pia, a stąd tramwajem pojechaliśmy do kościoła św. Agnieszki, pochodzącego z VII wieku, ze starożytnymi kolumnami i mozaiką. Stąd drogą zwaną Pia Nomentana, przekroczywszy starożytny, z czasów rzymskich pochodzący most nad rzeką Anio (poboczna Tybru) skierowaliśmy się na górę niezbyt

stromą, zwaną Monte Santo. Jest to starożytna Mons Sacer, na którą w roku 494 przed Chr. lud rzymski (plebejusze) uciskany przez bogatszych patrycjuszów, urządził secesję i chciał tam założyć osobne miasto, że go dopiero nakłonił do powrotu Menenius Agryppa, opowiedziawszy mu bajkę o żołądku i zbuntowanych członkach. Wyleźliśmy na tę górę pamiętną w dziejach i podziwialiśmy przepyszny widok na łańcuch gór Sabińskich, okrytych na szczytach śniegiem. Z daleka przypominały one żywo nasze polskie Tatry widziane z Nowego Targu. Piechotą wróciliśmy strudzeni do domu o 6-tej wieczorem.

## 12 I.

W niedzielę rano poszedłem na mszę św. do kościoła Apostołów, która trwała — jak w ogóle we Włoszech — około kwadransa (tylko dwa razy się dzwoni). Kościół piękny renesansowy, ale zeszpecony późniejszymi dodatkami barokowymi. Stąd poszedłem na Forum Romanum, aby się popatrzeć, jak daleko postąpiły wykopaliska. Przekonałem się, że bardzo mało. Odkryto wprawdzie groby z czasów jeszcze przedromulusowych, ale te były przykryte namiotem, tak że ich widzieć prawie nie mogłem.

Po obiedzie poszedłem jak zwykle do Caffé Ramazzotti, ale spóźniłem się: Darowskiego już nie było. Poszedłem więc na Pincio, gdzie wygrzewając się na słońcu ( w letniej zarzutce!) słuchałem ślicznej muzyki. Nagle powstaje wśród licznej publiczności ruch niezwykły — wszystko zaczyna gnać w jedną stronę. Zrywam się z ławki i pędzę z tłumem zaciekawiony. Przedmiotem sensacji był król Wiktor Emanuel III i jego małżonka, przejeżdżający właśnie główną aleją Pincio. Król w stroju wojskowym, sam powoził, kłaniając się raz po raz na obie strony rozentuzjanzowanym Włochom, którzy ryceli „Eviva!” i machali czapkami. Miałem sposobność po raz pierwszy przyjrzeć się z bliska królowi. Uczynił na mnie wcale sympatyczne wrażenie. Małżonka jego, skromnie ubrana, brunetka 30-letnia, miłą posiada twarz...

Wróciwszy około 5-tej do domu (i nie zastawszy listu!) usiadłem do fortepianu i począłem marzyć, przenosząc duszę na tonach pieśni w dalekie rodzinne strony, do Ukochanych. Z zadumy wyrwał mię znajomy głos w przedpokoju: „Signore Polacco c'è a casa?” i po chwili witałem się z prof. Abrahamem, który mię przyszedł — pocziw — odwiedzić i zawiadomić, iż na środę przesunięto jęścieśmy na obiad do p. Pastora, dyrektora Instytutu Austriackiego, Niemca, u którego zaraz po przyjeździe byłem z wizytą. (Zapomniałem napisać, że niezadługo zostanę członkiem tego Instytutu i otrzymam kartę uprawniającą do bezpłatnych wstępów do wszystkich publicznych muzeów i zbiorów)...

## 15 I.

Brrr! Zimno! Wreszcie nadchodzi zima. Dziś w nocy opadła rteć w termometrze na dworze poniżej 0, co rano można było stwier-

dzić po szronie, który ściał rośliny. Siedzę przy swoim stole w serdaku, stopy zanurzyłem w berlaczach a nogi okryłem ciepłym kocem — i nie czuję chłodu. Gdyby zimno się wzmogło, okryję się kołdrą — jak mówiłem we Lwowie, a gdyby i to nie pomogło, czego nie sędzę, sprawię sobie piec. Tęsknię do ogniska, nie w prostym tego słowa znaczeniu, ale do ogniska domowego, do kochanych i kochających; tu moimi towarzyszami są cztery ściany, jak więzienie... Ale prawda, żeśmy sobie obiecali nie roztkliwiać się zanadto. Trochę cierpliwości, a powróci wszystko szczęśliwie do dawnego porządku. A czas pozostały trzeba jeszcze wyzyskać na naukę, pracę archiwalną i zwiedzanie Rzymu. To ostatnie na razie zawiesiłem na kołku, odkładając je do czasu wyjazdu prof. Abrahama, któremu pożyczyłem Gsellfelsa, bez którego z korzyścią zwiedzać Rzymu nie można. Nastąpi to za parę dni, a szkoda, bo tak miło mieć towarzysza w archiwum i to tak uczzonego, do którego i z radą i z informacją można się udać w każdej chwili.

Wspominałem w poprzednim liście, że na środę byliśmy prośeni do p. Pastora. Jest on kierownikiem Instytutu Austriackiego w Rzymie, tj. jakby stacji naukowej, kierującej pracami w archiwach i bibliotekach włoskich. Przed 1-szą więc poszedłem do p. Hofrata, gdzie już zastałem grono zaproszonych osób. Było nas ośmiu panów, wszyscy znający się z widzenia z Archiwum: Abraham, ja, dwóch Czechów, trzech Niemców i jeden Węgier (biskup Fränknoi<sup>4</sup>). Pastora już zdaje się znasz z opisu, bom zaraz po przyjeździe był u niego z wizytą i wtędym musiał Ci go opisać<sup>5</sup>. Człowiek mimo swej sławy naukowej (autor dziejów papieżstwa w kilku tomach) skromny, przystępny a nawet serdeczny. Urządzenie apartamentów wspaniałe. Zaraz po moim przybyciu (byłem ostatni) przono do stołu. Ja zająłem miejsce między prof. Abrahamem a drem Zahradnikiem, Czechem. Dyskusja przy stole — w której też brałem żywy udział — toczyła się naturalnie w języku niemieckim. Z Abrahamem i Zahradnikiem mówiłem po polsku. Z Czechami porozumiewam się doskonale, dzięki podobieństwu mowy i temu, że swojego czasu przerobił gramatykę czeską i przeczytał parę książek. Nie potrzebuję mówić, że obiad był wyśmienity, prawdziwie pański (z trzema gatunkami win). Na czarną kawę i cygara poszliśmy do innego gabinetu. Ja z dwoma innymi niepalącymi (Niemcami) rozmawiałem o naszych pracach archiwalnych, o Rzymie etc. Na pożegnaniu prosił mię ks. Biskup węgierski Fränknoi na obiad w sobotę. Dziś złożyłem mu wizytę; nie zastawczy w domu, zostawiłem bilet.

<sup>4</sup> Biskup Wilhelm Fränknoi, główny inspektor bibliotek i muzeów węgierskich, członek Akademii Umiejętności w Budapeszcie, Pradze, Belgradzie i Krakowie.

<sup>5</sup> Listu z opisem tego brak, tak jak i kilku innych.

Jeżeli mowa o wizytach, to nie pomnę, że miał dzisiaj je u siebie. Około 3-ej po południu przyszedł o. Olejniczak z o. Jeżewiczem. O. Olejniczak odjeżdża w tych dniach na 3 lata do pobliskiej włości Mentorelli (niedaleko Tivoli), gdzie Zmartwychwstańcy polscy mają swoją wilegiaturę na wysokiej (podobno 1000 m) górze. Żal mi, że ubędzie tak miły znajomy, ale obiecałem mu, że go odwiedzę na 1 i 2 lutego z o. Jeżewiczem. Ten zaś przyszedł do mnie w sprawie rękopisu św. Stanisława Kostki, który znalazłem w Bibliotece Watykańskiej.

23 I.

... Ze zdarzeń z ostatnich dni wspomnę o tym, że we wtorek złożyłem „dziękczynną” wizytę Pastorowi i ku niechęci zastałem go. Ja bardzo nie lubię wizyt, ale gdy już trzeba, to pragnąłbym nie zastać w domu i zostawić bilet. Byłem też z prof. Abrahamem na przesłicznej wycieczce w Subiaco<sup>6</sup>. Profesor odjechał we środę po południu. Byłem na dworcu i pożegnałem go z prawdziwym żalem. Przez tych parę dni bardzom się do niego przywiązałem.

Możem Ci już wspomnieć o tym, że przyjechał mój dawny kolega z gimnazjum, Józef Ruffer. Widziałas go Lesiumu we Lwowie, bom Ci go raz pokazywał, gdyśmy w niedzielę wracali z Ogrodu Jezuickiego. Mówiłem Ci wtedy, że jest poetą i ogłasza wiersze w „Dodatku” do „Słowa Polskiego”. Możem Ci także wspomnieć, że był bardzo chory piersiowo i lekarze kazali mu jechać na południe. Dostał płatny urlop w gimnazjum (jest sup-lentem) i wyjechał do Abacji. Aliści gdy przyszły chłodne dni, uciekł z Abacji na południe i w nadziei, że mu będzie lepiej, zjechał do Rzymu, prawie bez grosza. Najął sobie prowizorycznie izdebkę w dalekiej i niezdrowej części miasta i rozpoczął poszukiwania za mną. Oto poszedł do kościoła św. Piotra i ujrzawszy tam w polskim konfesjonale księdza, prosił go o wskazówki. Ten, mając znajomego pracującego w Archiwum, dał mu przezeń znać o mieszkaniu Ruffera do Archiwum, tak że już zaraz tego samego dnia mogłem go odwiedzić. Zastałem go chorego, z opuchniętym gardłem. Narzekał biedak na swój los, mówił, że wpadł z deszczu pod rynnę, bo w Abacji było przecież cieplej niż w Rzymie i do tego rozchorował się. Pocieszyłem go i wspomogłem i radziłem jechać jeszcze dalej na południe — do Neapolu lub Salerno. W czwartek rano odwiedziłem go — leżał w łóżku, przebywszy silne zapalenie gardła. Żal mi się zrobiło, gdym patrzył na tego nędznego, wychudłego młodzieńca. Taki talent — skazany na krótkie a straszne życie. Sam jeden, wśród nieznanomych ludzi, wśród obcego sobie języka. To okropne!

<sup>6</sup> Subiaco, tak jak Monte Cassino są najstarszymi siedzibami benedyktynów, założonymi przez św. Benedykta w VI wieku, obfitującymi w stare rękopisy.

U nas ciągle zimno, choć zmniejszyło się z powodu deszczu, który leje już trzeci dzień. Serdaczek nieoceniony i wdzięczny jestem zań drogim Rodzicom. Taki przyjemny, że cały dzień w nim siedzę.

Poza tym żadnych u mnie zmian. W sobotę był u Włochów ścisły post z powodu ślubu, jaki przed wiekiem uczynili dla odwrócenia na przyszłość niebezpieczeństwa trzęsienia ziemi, które wtedy strasznie Rzym nawiedziło. Do charakterystyki społeczeństwa rzymskiego należy skrajność pod względem religijnym. Rzymianie są albo zupełnymi ateistami albo gorliwymi katolikami. Zdaje mi się, że ci ostatni mają znaczną większość, jakkolwiek i masoneria jest rozgałęziona, a krzewi ją prócz socjalizmu sam rząd, wrogi Kościołowi. Tak w wojsku jak i w szkołach publicznych nauka religii jest wykluczona. W kościele nie spostrzeże się munduru wojskowego — jest to dla wojska poniżającym chodzić do kościoła. Jak daleko doprowadzi taki stan? Niewątpliwie do zdziczenia, jak tego objawy występują w południowych Włoszech i na Sycylii, gdzie bandy rozbójników i łotrów mają jawną organizację, tzw. maffię, której każdy, kto chce być bezpiecznym od rabunku i śmierci, musi się opłacać, niby asekurować! I to Europa w XX-ym wieku!

.....  
W Caffé Ramazzotti poznałem świeżo przybyłego młodego archeologa Hadaczka<sup>7</sup>. Darowski nazywa go nudziarzem, bo o niczym nie umie mówić jak tylko o archeologii. Nie dziwota, że felietonistę dziennikarskiego nudzi archeologia. Ale ja z wielką przyjemnością dyskutowałem z nim już po odejściu Darowskiego przeszło godzinę i wiele się dowiedziałem ciekawych rzeczy. Będziemy naturalnie razem zwiedzać muzea i zabytki rzymskie.

Dnia 5 lutego przychodzi z domu dobra wiadomość, że prof. Abraham zdał relację ze swej „inspekcji”, przy czym syna pochwalił a rodziców pocieszył, ale równocześnie i niepokojąca, bo oto ojciec ciężko zaniemógł. Wprawdzie rodzeństwo pisze uspokajająco, lecz brak wieści pisanych bezpośrednio ręką ojca napawa Władysława dużym niepokojem. Niepokój ten zagłusza pracą i poza troskliwymi zapytaniami o zdrowie, donosi ojcu:

W Bibliotece znajdują się teraz ciekawe rzeczy w formularzach. Również w Archiwum, skąd dałem do odpisania już do 30 ważniejszych aktów. M. in. natrafiłem na suplikę Jana Długosza o kanonię. Zrazu aż podskoczyłem na krześle, alem wnet sobie przy-

<sup>7</sup> Dr Karol Hadaczek, późniejszy profesor archeologii klasycznej i prehistorii na Uniwersytecie Lwowskim, oraz kierownik c.k. Rady Archiwalnej dla zabytków sztuki na okręg lwowski.

pomniał, że w tym czasie było kilkunastu Janów, a nadto to rok 1434, więc za wczesny dla historyka. Zapewne jego stryj.

To znowu:

Natrafiam na interesujące obyczajowe kawałki ... Znalazłem dokumenta dotyczące przejścia Sonki na katolicyzm, fundacji kaplicy królowej Zofii oraz różnych zarządzeń w katedrze wawelskiej (1436). Ciekawe, bo aktualne. Pracuję jak wół ...

Kolega Ruffer ma się lepiej, Władysław oprowadza go więc po zabytkach Rzymu, wspina się z nim na kopułę bazyliki św. Piotra, skąd rozciąga się czarujący widok, lub siedząc razem nad brzegami Tybru snują obaj wspomnienia z lat gimnazjalnych. Jest już bowiem znowu słonecznie i ciepło. Mimo to nauka idzie pełnym tokiem przy nieco zmienionym trybie jego życia. Wstaje teraz o 5-tej rano, gimnastykuje się, po czym zabiera się do książki, za to o 9-tej wieczór jest już w łóżku. „Mógłbym służyć za zegarek” — pisze o sobie i ta systematyczność ułatwia mu podolanie tylu zadaniom naraz. Pozwala sobie tylko po południu na godzinny spacer „dla zdrowia”, choć czasem nie stroni i od koniecznej rozrywki. To nakłania Holendra na Mefistofelesa — operę Boita, to znow towarzyszy paniom Senesi do łoża senatu dla przysłuchania się posiedzeniu włoskiego ciała ustawodawczego, lub idzie z panem Senesi na bal maskowy, odbywający się w teatrze Constanzi, który później tak opisuje:

Ubrałem się we frak i koło 10-tej poszedłem tam z panem Senesi. Zapłaciłem 5 lir wstępu i wszedłem do sali. Pierwsze wrażenie imponujące. Ta olbrzymia sala, rześcicie oświetlona i ubrana świeżymi kwiatami, które rozsiewały w powietrzu miłą woń, wydała się jeszcze większą po usunięciu krzesel i rozszerzeniu jej sceną. Na środku sali stało podwyższenie, ozdobione drzewkami i kwiatami oraz barwnymi balonikami gazowymi na długich sznurkach. Na czterech rogach podium stały cztery armatki. Publiczności jeszcze niewiele. Dwie muzyki przygrywają na przemian. W jednym kącie sali tworzy się kółeczko, w którym tańczą maski i kostiumy. Zwłaszcza dwie bardzo żywo zaczepiają mię i chciałyby mię wciągnąć w taniec — naturalnie nadaremnie. Zagniewane odchodzą do innych. Tymczasem publiczności coraz więcej. Mnóżą się i maski i kostiumy. Jestem pierwszy raz w życiu na czymś podobnym. Niektóre maski pobudzają do śmiechu. Kostiumy również dziwaczne. Zwłaszcza kobiety poprzebierane za mężczyzn nie wzbudzają estetycznych wrażeń. Zaczyna się ścisł, a z nim rośnie swoboda. Spotykam znajomego z Archiwum, dra Dänglera, poczciwego Niemca, chodzimy razem i czynimy spostrzeżenia. Pan Senesi stoi koło wchodu i też przypatruje się kobietom, zadowo-

lony, że się wyrwał z domu sam. Zbliżyliśmy się do podium, wtem armata wystrzela prosto na mnie i zasypuje mię gradem pocisków czekoladowych. Łapię co się da i zajadam. Równocześnie z łóż i galerii rozpoczyna się bombardacja cukierkami, koriandolami i konfettiami. Latają barwne węże, sypie się śnieg kolorowy. Mężczyźni u dołu chwytają długie papierowe paski rzucane im przez piękne panie z łóż i dają sobie znaki. Taka zabawa, ochocza, dźwięczna, trwa do północy. O tym czasie lepsze towarzystwo wynosi się do domu albo do górnych sal, aby tańczyć przy fortepianie. Na sali zostają męty. Mimo to ścisł niesłychany. Trąbka daje znak, iż rozpoczyna się pochód i premiowanie masek. Suną więc parami Chińczycy (z tych trzech żywi i prawdziwi), błazny, arlekiны, poliszyneli, a wszystkich uwagę zwraca kardynał z krzyżem na piersi, podobny do Mazarina. Ten szczyt bluźnierstwa i głupoty uzyskuje pierwszą nagrodę! Tymczasem swoboda prze-radza się w orgię. Zaczynają dziać się sceny, które godne czasów Nerona, wprost wstrętem mnie przejmują. Wrzaski pijanych kobiet i zwierzęce ryki mężczyzn mieszają się z dźwiękami szalonej muzyki. Wszystkich ogarnia szał namiętności. Wtem wpada na salę kilkunastu policjantów i wprowadza porządek, ku niezadowoleniu rozpasanego tłumu. Sam byłem świadkiem uwolnienia kobiety z rąk kilku mężczyzn przez karabinierów, ku jej niechęci! Nie mogąc dłużej patrzeć na to co się dzieje, poszedłem o 1-szej do domu. Wieczny a niezmienny Rzym!

Oto Włochy! Dekadencja moralna bez granic! A wszak to pierwszorzędny teatr! Co się musi dziać w innych, gdyż dzień w dzień we wszystkich teatrach odgrywają się takie „Veglioni”, przez cały tydzień.

Spałem naturalnie długo. Koło 8-mej obudzono mię pukaniem. Przynoszą mi list od p. Darowskiego z biletem na dzisiejszą pielgrzymkę do papieża. Ja już mając bilet od Holendra, postanowiłem drugi zanieść Rufferowi. Zebrałem się i poszedłem do niego, ale nie zastawszy go w domu udałem się wprost do Watykanu. Na placu tłumi spieszące do bazyliki św. Piotra na mszę kardynała Rampolli. Ja wszedłem przez Portone Bronze i przez Scala Regia i udałem się do sali beatyfikacji. Posuwam się pomału wskutek ścisłu, mimo że to dopiero 10 1/2 a przyjęcie pielgrzymki zapowiedziano na 11 1/2. Wchodzę do sali długiej a wąskiej, nieładnej. W środku szpaler tworzy gwardia papieska w gali, pod ścianami łoże dla pań w czarnych welonach. Na końcu sali wspaniała tron z czerwonego adamaszku i złożony. Staram się dociśnąć jak najbliżej. Wreszcie zatrzymuję się w odległości kilkunastu kroków od tronu i czekam. Usposobienie tłumu wesołe, karnawałowe. Mnóstwo Anglików, którzy idą patrzeć na Ojca Św. jak na jakie „spectacolo”. Przede mną grupka księży śmieje się

i żartuje dość grubo. Sala zapełnia się szczerlnie. Mija zapowiedziana godzina, mijają trzy dalsze kwadransy. Powietrze duszne, gorące, ścisł niesłychany.

Z okazji jubileuszu papieskiego przybyła dziś pielgrzymka z Włoch północnych, pod przewodnictwem arcybiskupa Mediolanu, uczcić następcę św. Piotra. Ci, z darami, które przywieźli Ojcu Św., zajęli miejsce najbliżej tronu. Wtem powstaje ruch wśród tłumu. Słychać szept: „Eccolo! Eccolo!” (Oto On! Oto On) i głowy wszystkich zwracają się ku drzwiom. Za chwilę ukazują się w nich Ojciec Św., niesiony wysoko na Sedia gestatoria. Zrywają się oklaski i gromkie okrzyki: „Viva Papa Leone, viva Papa Re!”. I oto ujrzałem Go! Zrazu z daleka, posuwał się pomału, im bliżej tym wyraźniej Go widziałem. Ogarnęło mię niezwykle uczucie. Serce biło mi gwałtownie a łzy cisnęły się do oczu, gdym patrzył na tego przedstawiciela Boga na ziemi. Godny Jego Namiestnik. Co za potężny majestat. Ojciec Św. drżącą ręką błogosławił na obie strony, czasem wstawał i słodko uśmiechnięty witał rozentuzjasmowane tłumy. Wrażenie moje rosło, oczy nasze spotkały się na chwilę — przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Tych oczu nie zapomnę nigdy. W nich jest cała ta wielka dusza, bo ciało wychudłe i nędzne. Co za blask majestatyczny a dobroć w tych oczach. I gdy w tej sekundzie spojrział na mnie i pobłogosławił ręką, powiedziałem sobie: to błogosławieństwo dla mnie i dla domów naszych. Zaniesiono Ojca Św. do tronu, gdzie usiadł, by przyjąć deputację pielgrzymki. Zaczęły się przemowy. Mówił po łacinie arcybiskup z Mediolanu, potem z Ferrary; wręczyli papieżowi dary: tiarę srebrną i klucze złote. Oglądał je staruszek, cieszył się i rozmawiał żywo, a potem przemówił głośno po łacinie, dziękując za objawy czci, jakiej doznał sam, a przez niego Kościół. Potem żywym i niezwykle donośnym głosem zaintonował: *Benedicat vos Omnipotens Deus Pater et Filius etc.*, wywołując wśród zgromadzonych olbrzymi entuzjizm, oklaski i okrzyki. Wreszcie nastąpiło ucałowanie ręki przez członków pielgrzymki, po czym usiadłszy na Sedii, błogosławiąc i żegnając obecnych, pozwoli opuścić salę, pozostawiając w moim sercu swój obraz i podniosłe uczucie religijne.

Gdym wyszedł na korytarz, spotkałem ks. arcybiskupa Simona, który ubrany w fiolety, był także w orszaku papieskim. Ucałowałem go z nienacka w rękę. „A, jak się kochany Pan miewa? Poznać! Poznać, że Pan widział Ojca Św. Taki rozpromieniony!”. Tak, czułem to, że był rozpromieniony.

Po obiedzie zeszedłem się w kawiarni Ramazzottiego z p. Darowskim, wzięliśmy fiakra i, wstąpiwszy po Ruffera, pojechaliśmy do Villa Doria Pamphilli. Jedzie się przez Janiculum, mając przed sobą wspaniałą i rozległą widok Rzymu. Nie potrzebują dodawać, że jest ciepło jak w lecie. Drzewa rozkwitają białym i ró-

żowym (migdały) kwieciami. Woń w powietrzu wiosenna, na niebie silnie niebieskim ni mgiełki. Słońce przypieka rozkosznie. Przez bramę wchodzimy do tego najpiękniejszego ogrodu w Rzymie. Szeroka aleja dębów włoskich, pinii i cyprysów wiję się wśród parku. Na prawo widok na kopułę św. Piotra. Wreszcie ukazują się wśród zieleni piękna willa Doria. Obchodzimy ją i podziwiamy przepyszny dywan kwiatowy, dziś jeszcze z suchych kwiatów zimowych utkany. Jaki on musi być cudny i wonny na wiosnę, w kwietniu lub w maju! Wreszcie zbaczamy z alei na trawnik ku laskowi, gdzie zbieramy fiołki, przebiśniegi, pierwiosniki i anemony. Jak tu rozkosznie!

W sobotę rano poszedłem z Rufferem do galerii Rospiglioni ...

[Tu następuje, jak zwykle, wyliczenie najciekawszych eksponatów.]

Po południu usiłowałem być pilnym i uczyć się, ale nie szło mi jakoś. Czy to zmęczenie po niewyspanej nocy, czy ilość wrażeń odniesionych w ostatnim czasie, nie wiem, dość że rzuciłem książkę i poszedłem się przejść. Z terasy Pincio obserwowałem zachód słońca, jakiego jeszcze nie widziałem. Złoto kapało się w krwi i utonęło w niej. A krew rozlała się po błękitach, czyniąc go fioletowym. Co za refleksy barw, co za widoki! Na tym tle barwnym odbijały się silnie sylwety ciemne dachów i wież rzymskich. Smętnie dźwięczał *Anioł Pański* ...

26 II.

Wiosna! Wiosna w całej pełni ...

Odwiedził mię ks. Zahradnik, Czech, znajomy z Archiwum, człek młody, wesół i żywy. Zaproponował mi wspólne zwiedzanie w najbliższych dniach. We wtorek rano wedle umowy zeszlismy się u wrót Watykanu (i Ruffer). Ale oto ku naszemu zmarwieniu zastaliśmy wszystko pozamykane — z powodu ostatniego dnia karnawału, który nawet w Watykanie jest wielkim świętem. Ponieważ była rozkoszna pogoda, poszliśmy na daleką wycieczkę, do Aqua Acetosa i Ponte Molle, gdzie byłem przed paru tygodniami. Żyjąc na ziemi włoskiej, trzeba się stosować do jej zwyczajów. Dlatego postanowiłem po południu nie robić ale za to użyć przechadzki. Z Zahradnikiem i Rufferem poszliśmy więc na Via Appia (gdzie byłem z Podsońskim jeszcze 16 listopada), zwiedzając po drodze wszystkie kościoły i grobowce. Z powrotem wstąpiliśmy do Term Caracalli na wino i wśród dobrych humorów, śpiewając i świszcząc, późnym wieczorem wróciliśmy do miasta, gdzie na ulicach wrzało życie karnawałowe...

2 III.

Jak w pierwszym mego pobytu w Rzymie okresie zachwycałem się grecką rzeźbą, tak obecnie rozplątam się nad malarstwem renesansowym. Gdy dawniej podziwiałem posągi i grupy Praxyte-

lesa, Skopasa lub Myrona, dziś unoszę się nad Michałem Aniołem i Rafaelem. Dziwna rzecz, że odrodzenie duchowe narodu wydaje jednocześnie kilku geniuszów, od siebie niezależnych a indywidualnych, po czym wieki całe nie pojawiają się ani jeden talent. Tak było w czasach Peryklesa, tak w dobie „cinquecento”, a i u nas w Polsce odrodzenie romantyzmu wydało od razu trzech poetów geniuszów.

Dziś dostałem kartkę z domu. Biedny Tatko na Swe Imieniny po raz pierwszy wstał z łóżka, ale tak był osłabiony, że z pomocą Mani i Mamy ledwie przeszedł na fotel ...

5 III.

Ostatnie dni spędziłem na pracy intensywnej. W Archiwum znachodzą się coraz częściej ciekawe materiały. W archiwum ambasady austriackiej (w pałacu weneckim) znalazł mój znajomy dr Dängler korespondencję ks. Kalinki, wielkiego historyka i jednego z założycieli Kolegium Zmarłychwstańców w Rzymie. Dziś przeglądałem te listy i znalazłem wiele ciekawych, zwłaszcza z roku 1863, pisanych ręką osób mających udział w powstaniu. Będę się starał, by te listy przesłano Bibliotece Uniwersyteckiej we Lwowie ...

Miałem sposobność na własne oczy widzieć (w dniu 3 marca) uroczystość, której echo rozeszło się po całej ziemi, na którą zjechali się wierni ze wszystkich jej zakątków, uroczystość zakończenia 25-letniego jubileuszu Leona XIII. Jak wspominałem poprzednio, bilet mój odstąpiłem Rufferowi, głównie w nadziei, że otrzymam inny od ks. Jeżewicza. Nadzieja zawiodła, choć nie bardzo, z powodów, które już wyłuszczyłem w ostatnim liście<sup>8</sup>. Ale nadszedł wtorek. Pochmurnie było, deszcz lał rześysty. Po paru tygodniach suszy rozpląkało się niebo na dobre. Mimo to zebrałem się około 9-tej, aby zobaczyć przynajmniej plac św. Piotra. Poszedłem razem z Holendrem, który miał bilet. W mieście ruch wielki. Całe szeregi powozów i dorożek ciągną w stronę Watykanu, tramwaje mimo pomnożenia liczby wozów przepelnione. Na placu roi się od ludzi i dorożek. Przed terasą św. Piotra czerni się mur wojska, najeżony karabinami. Te 1000 żołnierzy wysłał rząd niby dla czuwania nad porządkiem, którego nikt nie myśli zakłócać. Nadto mnóstwo agentów i policji moknie na deszczu i patrzy na spokojnie dążących do wrót bazyliki. Pożegnałem Holendra i odszedłem z zalem, że nie będę świadkiem uroczystości. Wtem zabiega mi drogę jakiś człowiek i pyta: „Vuole un biglietto?” Ucieszony pytam: „Quanto costa?”. „Due lire”, „Una lira” mówię, biorę bilet i spieszę do kościoła. U wrót odbiera bilet gwardzista w półmetrowym niedźwiedzim kołpaku. Wchodzę i widzę, że tłum zaległ już cały kościół. Robię się śliskim i wciskam się w tłum,

<sup>8</sup> Listu tego brak. Pozostałe złożyłam w Bibl. Jag. w Krakowie.

by być jak najbliżej szpaleru, utworzonego przez gwardię papieską. Wtem ujrzałem o parę metrów od siebie wystającą z morza głów czuprynę Ruffera<sup>9</sup>. Jeszcze parę wysiłków (nagrodzonych szturchańcami) a stałem przy nim i to bardzo blisko szpaleru. Ojca Św. bowiem mają nieść wzdłuż prawej ściany, kaplicami oddzielonymi na dziś szrankami sukiennymi od nawy głównej, po czym środkiem całej nawy głównej do tronu, który ustawiono pod katedrą św. Piotra. Nagle rozlega się jakiś krzyk w tłumie, to zemdlał ktoś. Ludzie jednak myślą, że to już papież się zbliża, więc zaczynają wołać „Eviva!” i klaskać. Za chwilę to ustaje i znów długie oczekiwanie, podczas którego dalej napływa fala ludzka. Rozmowa i to głośna toczy się wśród zgromadzonych.

Wtem odchyliły się szranki kaplicy „della Pietà” i wysypały się z niej orszak gwardii, w żelaznych błyszczących zbrojach, w hełmach z halabardami w prawicach (ostatni raz wystąpiła ta Guardia nobile przed 30 laty za papieża Piusa IX w takim uniformie). Zakolęsał się potężny tłum, oczy wszystkich zwróciły się ku szrankom, niektórzy podnosili się na palcach, co wywoływało wrażenie falowania tego morza ludzkiego. Po chwili ukazała się w szrankach jak zjawisko nadziemskie postać Ojca Św. Siedział na Sedia gestatoria, w tiarze i kapie srebrzystej. Za Sedią chwiała się majestatycznie dwa olbrzymie białe wachlarze z piór strusich. Znów mogłem z bliska przyjrzeć się Temu, co ma „dusz rząd” w swym Boskim władaniu. Zerwała się burza oklasków i okrzyków, które przygłuszyły fanfarę orkiestry. A Ojciec Św. widł swój łagodny i dobrotliwy wzrok dokoła, jakby pragnąc objąć nim wszystkich zgromadzonych i drżącą ze starości ręką błogosławił na obie strony i czasem wstawał na Sedii, aby być widzianym przez wszystkich, nawet przez dzieci, których sporo było w kościele, a które utonęły w tym morzu dorosłych osób. A wtedy burza oklasków i entuzjastycznych okrzyków jeszcze się wzmogła i nie było jej końca.

A ja? Ja, gdym wzrok rzucił na tego starca świętego, doznałem zrazu tego samego uczucia co pierwszy raz. „Coś” ścisnęło mi gardło i lez do oczu mi nasączyło, a czułem, że gdyby nie to, iżem był skrzepowany ciżbą, runąłbym do stóp Ojca Św. i całował je żarliwie. Ale uczucie to przeszło prędzej niż wczoras. Dlaczego? Oto dlatego, że pomyślałem, jako ten majestat niezmierny i wszechpotężny nie licuje z tym pogańskim przepychem, jaki go otaczał. Te gwardie, te zbroje, halabardy i wachlarze, to tylko osła-

<sup>9</sup> Będąc w roku 1919 jako ekspert do spraw Spisza i Orawy na konferencji pokojowej w Paryżu spotkał tam prof. Wł. Semkowicz kolegę Ruffera, pracującego w Polskiej Bibliotece Akademii Umiejętności i wciągnął go do zbierania na terenie Francji materiałów do założonego przez siebie w roku 1915 na uchodźstwie w Wiedniu Polskiego Archiwum Wojennego.

bia powagę, jaka bije z oblicza Arcypasterza. To mogło ludziom imponować w średnich wiekach, ale dziś stanowczo już nie uchodzi. Takie jest moje zdanie! Gdy Ojca Św. zamieszono do tronu, udzielili stamtąd błogosławieństwa, ale ja już tego nie widziałem z powodu odległości i z powodu ruchu, jaki powstał wśród publiczności. Jedni bowiem zaczęli wychodzić, inni napływać na ich miejsce. I ja wyszedłem, bom już był znużony stanem i ściśnięty we wsze boki.

Wieczorem była iluminacja, która jednak wypadła bardzo słabo. Dość powiedzieć, że na całej naszej ulicy tylko nasze okno było oświetlone. Po kolacji wyszedłem z Holendrem na miasto i dotarłem do Watykanu. Najwięcej światła było w małych wąskich uliczkach, zamieszkałych przez ludność ubogą, zwłaszcza na tzw. Borgo, tj. w pobliżu Watykanu.

### 8 III:

Są dnie, w których mi się nic nie wiedzie, a są znów takie, w których wszystko idzie „jak po maśle”; dnie chude i dnie tłuste. Dniem chudym był piątek. Wstałem dość późno (o 6-tej zamiast o 5-tej), w archiwum nic nie znalazłem ciekawego, a nauka szła mi jak po grudzie. Za to sobota była dniem tłustym, już nie tylko dlatego, że jadłem mięso, ale głównie dlatego, że dużo uczyłem i w archiwum zdobyłem ciekawe materiały. Wieczór tegoż dnia po kolacji poszedłem do Colosseum, gdzie miała być iluminacja. Pogoda była piękna. Niebo iskrzyło się gwiazdami a i księżyc chciał dopomóc oświetleniu zwalisk amfiteatru Flawiuszów. Zapłaciwszy 2 liry wszedłem w czarne mury gmachu, gdzie rzeki krwi niewinnej spływały, gdzie leż strumienie ziemi skrapiały, gdzie jęki męczenników mieszały się z wyciem zgłodniałych bestii, skąd najgorętsza i najświętsza modlitwa płynęła ku Stwórcy. Ilekroć wchodzę do tego budynku, myśli moje płyną w odległe czasy Cezarów a wyobrażenia zdwajając swą siłę, wywołuje w mej duszy dziwne uczucia. I dziś jak przed laty 1800 zgromadziły się tu tłumy ludu: i Rzymianie wrażeń żądni i Germanie z północy i nieliczni mieszkańcy pól (może ja jeden?). Jak przed osiemnastu wiekami, rozlegały się w tych murach dźwięki rzymskiej kapeli, jak ongiś przepełniało widzów uczucie niecierpliwości bliskiego widowiska: gwar, śmiech, flirt, krzyżujące się spojrzenia. A na to wszystko spoglądał z góry księżyc, świadek strasznych scen i orgii, jakie się na tym miejscu niegdyś rozgrywały. Jak wtedy tak i dziś byli tu poganie i chrześcijanie, tylko dziś oni tu w zgodzie, a wtedy byli wrogami, ale też wtedy inna była ta wiara w Chrystusa, silniejsza niż dziś, bo w krwi męczeńskiej skąpana.

Te i tym podobne myśli snuły mi się po głowie, gdy wtem przerwały je dwie rakiety, które wśród wystrzałów podążyły ku księżycowi. Wkrótce czarne ponure mury rozweseliły się różnobarwnymi światłami. Dół jaśniał barwą czerwoną, jakby odbiciem

tej krwi, która wsiąkła w ziemię, wyższe piętra mieniły się fioletem, najwyższe bladym błękitem. Te mury zdawały się budzić ze snu odwiecznego i gorzały teraz tak, jak niegdyś od blasku żywych pochodni. A w teatrze rozległy się oklaski widzów na znak zadowolenia. Lecz światła się zmieniają. Zielone i żółte dopełniają barw tęczy.

Piękne to było i efektowne, ale przyznam się, że większe wrażenie zrobiło na mnie oświetlenie blaskiem pełni księżyca w dniu 14 listopada zeszłego roku. ...

15 III.

Moja kroniczka rzymska staje się coraz nudniejsza, gdyż zaczynam powtarzać zwiedzanie, aby utrwalić sobie w pamięci ważne rzeczy. Nie wynika stąd, aby nie było już rzeczy godnych widzenia, a których jeszcze nie widziałem. Są, owszem, ale te jeszcze się ujrzy. Dziś rano z drem Zahradnikiem byłem na Forum Romanum, już po raz nie wiem który. Znam tu już prawie każdy kamień i gdy będziemy w Rzymie, oprowadzę Cię po nim lepiej od Baedekera. W piątek po południu zaś byłem z Hadaczkim i Chełmskim na Palatynie. (Chełmski, właściciel dóbr Łukom w Królestwie na drodze z Warszawy do Poznania, zaprosił mię do siebie na wieś, a ja mu obiecałem przyjechać, bo mam chęć i wolę zwiedzić całą Polskę<sup>10</sup>). Dziś po południu przybyło do Ramazzotiego aż dwóch świeżych Polaków: prof. Uniwersytetu Lwowskiego Jezienicki i adwokat z Warszawy Pawiński, syn historyka. Z nimi to poszedłem do ogrodu Borghese, gdzie się odbywała ludowa przejażdżka na samochodach. ...

Dzisiejszy dzień był dla mnie pomyślnym. Wstałem punktualnie o 5-tej i z ochotą. Często bowiem kosztuje mię to wielkiego wysiłku woli, a zdarza się, że i wola nie pomaga i podnieść się nie mogę, jakkolwiek sobie czynię wyrzuty z powodu marnotrawstwa czasu. Tę zdarzającą się niekiedy ospałość, której nie doznawałem we Lwowie, przypisuję klimatowi tutejszemu. Od czasu listu Tatka nowa otucha wstąpiła we mnie. Przedmiotów głównych (historii, geografii) wyuczę się bardzo dobrze i zdam je w maju (czy w czerwcu), resztę, tj. łacinę, grekę, polskie i niemieckie, prawdopodobnie złożę do listopada, a może jeszcze uda mi się zdać teraz, co byłoby świetnym.

22 III.

W ostatnich dniach nauka szła mi dość dobrze. Wczoraj straciłem popołudnie z następujących powodów: Mój kolega archiwalny, Czech, dominikanin dr Zahradnik, od dawna chciał poznać naukowo Palatyn i naciągał Hadaczka na oprowadzenie go. Ten jednak wymawiał się brakiem czasu. Gdy więc Zahradnik

<sup>10</sup> Zdanie wtrącone w nawiasie pochodzi z innego listu, tutaj przeze mnie nie uwzględnionego.

się dowiedział, że ja byłem z Hadaczkim (i Chełmskim) na Palatynie, i naukowo go poznałem, nuże zaczął mnie molestować, byśmy mogli razem tam pójść i abym go po Palatynie oprowadził. Będąc z natury miększym od Hadaczka, a chcąc się odwzajemnić za wprowadzenie mię do Archiwum Vallicellaneum, gdzie istotnie ważne akta do dziejów Polski znalazłem, musiałem się w końcu zgodzić na to, aby z nim tam pójść i wybrałem sobotę po południu. Ja z ochotą idę zawsze na Palatyn, jak w ogóle na każde miejsce pamiątek historycznych, ale brak czasu przemaga zawsze tę ochotę, tak że jakkolwiek popołudnie wczorajsze piękne, ciepłe i słoneczne, było dla mnie bardzo przyjemne, to przecież miałem wyrzuty sumienia z powodu straty czasu. Wróciłem zmęczony i już nic robić nie mogłem.

Ale nie obeszło się bez korzyści. Oto idąc z Zahradnikiem na Palatyn, spotkaliśmy dominikanina, Francuza, jego znajomego, generalnego prefekta misji w państwie Kongo w Afryce centralnej. Zahradnik zapoznał mię z nim, przy czym rozmowa toczyła się w dialekcie łacińsko-włoskim, z powodu iż ja nie mam odwagi mówić po francusku, jakkolwiek coraz lepiej rozumię ten język (korzystając z konwersacji między Senesimi a Holendrem). Otóż Zahradnik naciągnął znów swego Francuza na następny dzień tj. niedzielę do Muzeum Etnologicznego (Kircherianum), gdzie nam ten znawca i podróżnik afrykański miał objaśniać przedmioty muzealne z Kongo.

Ja na niedzielę ułożyłem z drem Pawińskim wycieczkę do Frascati. Gdy jednak rano doń poszedłem, przeprosił mię, że mu dziś ważne interesa jego klientów nie pozwalają tej wycieczki odbyć. Dlatego poszedłem do Kircherianum, aby skorzystać z wykładu afrykańskiego misjonarza. Przybyło tam prócz Zahradnika kilku duchownych różnej narodowości, tak że prelegent wybrał język łaciński jako znany wszystkim i w nim przedstawił nam niezwykle ciekawe stosunki wśród Murzynów we wnętrzu Afryki, ilustrując wykład okazami muzealnymi. Mię jako przyszłego nauczyciela geografii wykład ten zajął niezmiernie.

Po obiedzie naturalnie kawiarnia, po czym z drem Pawińskim przechadzka. Jest to syn znanego i dzielnego historyka warszawskiego, śp. Pawińskiego Antoniego. Mały, niepokaźny i zaniedbany, ale znawca dziejów Polski i stosunków obecnych w Królestwie. Nie omieszkałem skorzystać z tej znajomości, aby się wywiedzieć o tych stosunkach dokładnie.

26 III.

Dnie ostatnie upłynęły mi przyjemnie. Moja energia umysłowa dotąd nie osłabła, praca idzie jak koleją żelazną. W archiwum znalazłem we wtorek najciekawszy z dotychczasowych dokumentów. Oto w roku 1438 generał dominikanów zaostrzył regułę zakonną. Wtedy dominikanie wrocławscy napisali do papieża Euge-

niusza IV prośbę, aby ich zostawił przy dawnej regule i w prośbie przytaczają akt z roku 1226 fundacji tego klasztoru polskiego oraz bullę papieską z roku 1228 fundację tę potwierdzającą. Tak dawnego aktu i tak ciekawego nie spodziewałem się znaleźć, więc się nim bardzo ucieszyłem.

Po południu w niedzielę postanowiłem odpocząć i poszedłem do kawiarni, gdzie przybył Darowski i Pawiński. Miło jest pogawędzić po polsku, zwłaszcza z dziennikarzem, który ma zawsze sporo świeżych wiadomości w zanadru. Jednym mię tylko zmarł. Wiadomo Ci, że się z nim wybierał 6 kwietnia do Neapolu. Otóż wypaplał się z tym przed baronową Bauerową (krewną prof. Abrahama), która chce koniecznie jechać z nami. Masz babo plack! Brać ją z sobą, to znaczy nic nie widzieć i skrępować się. Będę się starał wywikłać jakoś z tego.

Potem poszedłem z Hadaczkim na Pincio. Pogoda była śliczna, gorąco wprost. Stąd poszliśmy w odwiedzinę do Madejskiego. Zastaliśmy go w pracowni. Jest to jeden z najlepszych rzeźbiarzy polskich. Młody, trzydziestokilkuletni, żywy i sympatyczny. Jest autorem sarkofagu królowej Jadwigi na Wawelu; dał mi odlew gipsowy orła polskiego z tego sarkofagu. W pracowni pełno jego prac, zaczętych i skończonych. Ma też piękny zbiór starożytności, monet polskich i rzymskich, aktów starych i sztychów. Spędziłem u niego ze dwie godziny na oglądaniu tych zbiorów. Potem zaprosił nas do pobliskiego klubu cyklistów. Jest tam ogromny plac do zabaw i ćwiczeń i tor cyklistów. Dosiadłem roweru Madejskiego i używałem sobie dokoła, po roku niejeżdżenia. Przy placu stoi budynek z salą ogromną, której posadzka jest z cementu. Jest to sala gimnastyczna, balowa i ślizgawkowa — naturalnie na kółkach. Kazałem sobie przytwierdzić takie łyżwy i z godzinę się ślizgałem. Wiesz, że dobrze ślizgam się na lodzie, ale na kółkach zrazu szło kiepsko, wkrótce jednak oswoiłem się z tą jazdą, tak że przy końcu już holendrowałem — ku uciesze Włochów, którzy tego nie znają. Raz tylko upadłem zgrabnie. Moja zgęstniała od siedzenia ciąglego krew rozruszała się trochę i czułem, jak mi ten ruch na rowerze i na „patinach” dobrze zrobił. Jakiś weselszy i rześki wróciłem do domu na kolację, mając szalony apetyt.

30 III.

W sobotę po obiedzie przyszedł do mnie ks. Giecwicz, zmarły wstaniec, aby zasięgnąć bliższych wiadomości o listach ks. Kalinki, które ja przeglądałem w archiwum ambasady. Potem oznajmił mi, że bawi tu ksiązę Tadeusz Lubomirski, który mię pragnie poznać. Przed paru laty napisałem rozprawę o dwóch rodach rycerskich polskich, Drużynitach i Śreniawitach<sup>11</sup>, wyka-

<sup>11</sup> Wł. Semkowicz: *Drużyna i Śreniawa. Studium historyczne.* —

zując ich siedziby najdawniejsze. Heraldycy pomieszali z sobą te dwa rody, z powodu że mają podobne herby; otóż ja starałem się je oddzielić i wskazać, które rodziny do każdego z nich należą. Pokazało się, że wiele rodzin, które dziś uchodzą za Śreniawitów, są właściwie Drużynitami. Tak mianowicie udowodniłem co do Lubomirskich i rozprawę posłałem księciu Tadeuszowi Lubomirskiemu do Warszawy, którego znałem tylko z jego prac historycznych. To go tak zainteresowało, że mi napisał list dziękczynny i odtąd na Święta i Nowy Rok bilety swe przysyłał, a przyjechawszy do Rzymu i dowiedziawszy się o moim tu pobycie, chciał mię osobiście poznać. Gdyśmy przyszli do hotelu i zapowiedzieli się biletami, wyszedł nam naprzeciw ten staruszek około 70-letni ale krzepko się trzymający. Gdy mię ks. Giecwicz przedstawił, ks. Lubomirski zapytał: „A to Pan jesteś chyba synem autora tej rozprawy o Drużynie i Śreniawie?”. A ja odrzekłem: „Nie, proszę Księcia Pana — ja jestem jej autorem”. „Ach, to nie może być — zawołał — aby Pan taki młody mógł napisać tak świetną rozprawę”. I zaczął ją wychwalać, mówiąc, że mu się wierzyć nie chce, bo mię sobie wyobrażał z tej pracy jako starszego człowieka. Ja pochwał nie lubię i chwalić się tym mniej nie umiem, ale taka pochwała i to z ust człowieka nauki, dla mnie nie jest zwykłym pochlebstwem, lecz zachętą do dalszej pracy w tym kierunku. Przypomina mi się recenzja mojej rozprawy o *Naganie szlachectwa*<sup>12</sup>, o której p. Rembowski w piśmie „Ateneum” napisał, że wyszła spod pióra znanego historyka i profesora uniwersytetu (mego Tatka). Przeszło godzinę rozmawiałem z księciem o jego rodzinie i dziejach Polski, czemu się przysłuchiwał obecny tam ks. Czartoryski...

Wczoraj w niedzielę wybrałem się na niedaleką wycieczkę do Ostii, dawnego portu Rzymu. W tym celu umówiłem się z Madejskim i Pogorskim (ten co był na wili z mną u oo. Zmartwychwstańców) i pojechaliśmy rano o 7-mej na rowerach. Ja pożyczyłem sobie rower na cały dzień za 5 lir. Gdyśmy przyjechali do Ostii nowej, byliśmy tak głodni, że co prędzej poszliśmy do restauracji na śniadanie. Trzeba wiedzieć, że są dwie Ostie: stara i nowa. Stara założona w bardzo dawnych czasach upadła skutkiem zamulenia brzegu morskiego przez Tybr. Morze po prostu ustąpiło, cofnęło się, i dziś jest oddalone od dawnego portu o 1 1/2 km. Dlatego założono w IX wieku po Chr. nową Ostię a dawna

„Kwart. Hist.” R. XIV: 1900 s. 200—220, tabl. 2. Odb. Lwów 1900 ss. 23.

<sup>12</sup> Wł. Semkowicz: *Nagana i oczyszczenie szlachectwa w Polsce XIV i XV wieku.* — „Studia nad historią prawa polskiego” pod red. O. Balzera t. I z. 1 s. 1—41. Odb. Lwów 1899 ss. nłb. 1, 41.



legła w ruinach. Te ruiny są bardzo ciekawe i przypominają Pompei, tylko że tu nie popiół i lawa, ale szlam rzeczny zatopił miasto. Odkopane przed kilkunastu laty, posiada parę dobrze zachowanych świątyń, domy przeważnie kupieckie, teatr, doki okrętowe etc. Tu przeprawiliśmy się na promie na drugi brzeg Tybru i pojechaliśmy do miasteczka Fiumicino (1 1/2 km) nad morzem. Morze tu śliczne przy ujściu Tybru. Żółta woda rzeki daleko w nie wchodzi i łączy się z jego szmaragdowymi wodami pod widnokregiem. Tu spożyliśmy obiad i wróciliśmy po południu o 4-tej inną drogą do domu.

W pierwszych dniach kwietnia

... Rzym ożywił się jak nigdy dotąd. Mnóstwo obcych twarzy, pełno obcej mowy, nie wyłączając polskiej. Jest to pora, w której Włochy najwięcej są zwiedzane; nadto wielki międzynarodowy zjazd historyczny. Moje dni ostatnie ściśle się z nim wiążą, jakkolwiek postanowiłem nie brać w nim udziału. Szkoda mi czasu, a nic bym nie skorzystał. Ludziom mówię, że się spóźniłem ze zgłoszeniem. Istotnie bardzo prędko zamknięto listę na 2000 osób. Wielka ilość Angielek z Baedekerami chce korzystać ze zniżek do południowych Włoch i Sycylii...

W środę przyjechał Dembiński i wielu innych Polaków...

Gdy po archiwum skierowałem się na plac Minerwy, chcąc złożyć wizyty paru Polakom w hotelu Chiara, przechodząc koło jednego sklepu z kartkami ilustrowanymi ujrzałem go przy ladzie zawzięcie się po włosku targującego. Ucieszyłem się tym spotkaniem i zaraz poszliśmy do hotelu, gdzie złożyliśmy bilety wizytowe. Wracając, zapytał mnie Dembiński, co porabiam i niezmiernie się zdziwił, gdym mu powiedział, iż o 5-tej wstaję i uczę się. „Dla mnie niech Pan się nauczy tylko cesarstwo rzymskie i trochę literatury historycznej. Nie trać Pan czasu na naukę, tylko zwiedzaj Rzym, z tego więcej skorzystasz”.

W domu zastałem bilet ks. Lubomirskiego. Odwiedził mnie starsuszek, był w moim pokoju i mówił młodemu Senesiemu, że mu się podoba to mieszkanie, a o mnie się wyraził: „Signore pacifico, cosi caro' ...

9 IV.

Poniedziałek upłynął na nauce. Przed południem rewizytowali mnie dwaj znakomici historycy polscy, p. Aleksander Jabłonowski i p. Tadeusz Korzon. Sprawili mi tym przyjemność i zaszczyt wielki.

We wtorek rano odwiedziłem prof. Dembińskiego, który mi zaproponował na popołudnie jakiś spacer na miasto, a na jutro wycieczkę do Subiaco wraz z hr. Sierakowskim<sup>13</sup>. Mimo iż mi żal

<sup>13</sup> Hr. Sierakowski, szwagier marszałka Potockiego.

było czasu, nie mogłem się wymówić. Po obiedzie przyszli do mnie oo. Jeżewicz i Olejniczak, który przyjechał na parę dni z Mentorelli. Koniecznie mnie zapraszali na niedzielę 18 bm. Wymawiałem się brakiem czasu, ale ostatecznie przyrzekłem w nadziei, że jeszcze w ostatniej chwili znajdę jakąś wymówkę. Gdy oni odeszli, przybył prof. Dembiński, któremu bardzo podobał się mój pokój. Ujrzawszy fotografie, wypytywał się ciekawie o Ciebie i o moje plany. Ponieważ był zmęczony (ziewał co minutę) zjazdem i ucztami, więc zamiast na przechadzkę za miasto poszliśmy do Villi Borghese, gdzie już raz byłem, a teraz miałem sposobność uzupełnić sobie niedostatki poprzedniego zwiedzania. Wróciwszy około 5-tej do domu, wziąłem się do nauki, po kolacji zaś poszedłem do ks. Lubomirskiego, który mię kartką prosił o przybycie. Radził mi się w sprawie herbu, jaki sobie zamierza dać zrobić z mozaiki w stole marmurowym. Od niego poszedłem w tej sprawie do Madejskiego, którego zastałem w restauracji przy kolacji...

W środę wstałem o 6-tej, zagrzałem sobie mleko na lampie i poszedłem na dworzec kolejowy w celu jazdy do Subiaco. Zasnute chmurami niebo nie wróżyło pogody, toteż gdy się zjawił hr. Sierakowski, odradziłem urządzenie wycieczki, zwłaszcza że nie przybył prof. Dembiński. Wracając spotkaliśmy go, ale już było za późno iść na dworzec, bo pociąg pewnie już był odjechał. Powodem spóźnienia Dembińskiego był strajk generalny, który wybuchł w Rzymie od rana. W obronie nadaremnie strajkujących zecerów stanęli wszyscy robotnicy, tak że ani jednej dorożki, ani jednego tramwaju nie było, którymi by można przybyć na dworzec. Ponieważ zaczęło się niebo wyjaśniać, postanowiliśmy zrobić bliższą wycieczkę, a mianowicie do Grotta Ferrata i zejść się w tym celu o 10-tej na dworcu. Hr. Sierakowski odszedł, a ja tymczasem oprowadziłem Dembińskiego po kilku kościołach (św. Praksedy i St. Maria Maggiore), gdzie byłem już dawniej... O 10-tej byliśmy znów na dworcu i wkrótce jechaliśmy do miejscowości zwanej Frascati; droga prowadziła przez pustą Kampanię wzdłuż małowniczych łuków akweduktów. Po godzinie jazdy przybyliśmy do tego miejsca położonego w ślicznej okolicy u stóp wygasłego wulkanu, zwanego Monte Cavo. Na wzgórzach wznoszą się piękne wille, ciemnozielone parki cyprysowe i srebrne gaje oliwne. Wyszliśmy z dworca i opadnięci przez kilkunastu dorożkarzy, zajęliśmy jednokonkę każąc się wieźć do hotelu Frascati, położonego z dala na wzgórzu. Tam zjedliśmy obfite śniadanie z wybornym winem miejscowym (fundacja hr. Sierakowskiego) i pojechaliśmy piękną aleją leśną do Grotty Ferraty. Po trzech kwadransach jazdy zajechaliśmy do celu wycieczki. Św. Nil, przyjaciel św. Wojciecha, Grek z Kalabrii, założył w roku 1004 w Grotta Ferrata klasztor Bazylianów, który później roz-

szerzany i obwarowywany, przetrwał do naszych czasów i zawiera wiele pięknych pamiątek. Z zewnątrz czyni klasztor wrażenie twierdzy średniowiecznej: posiada warowne mury i baszty. W środku tej warowni wznosi się kościół, którego fasada z XIII wieku została przerobiona na gotyk. Wchodzimy na podwórze klasztorne i podziwiamy przepiękną loggię renesansową z początku XVI wieku. Zjawia się zakonnik, Włoch południowy o czarnej brodzie i smagłej typowej cerze. Inteligentny ten mnich oprowadził nas po klasztorze i kościele. Zachowały się tam stare romańskie odrzwia z początku XI wieku, a nad nimi bizantyńska mozaika o dwa wieki od nich młodsza. Sam kościół zupełnie stracił dawny charakter skutkiem nowszej restauracji... W bibliotece i archiwum klasztornym oglądaliśmy wiele ciekawych rękopisów, m. in. manuskrypt św. Niła.

Z Grota Ferrata poszliśmy piechotą do miasteczka Marino. Zdało nam się z mapy, że będziemy tam za pół godziny, tymczasem upłynęła godzina, nim dostaliśmy się do miasta. Droga prowadziła ścieżką górską wśród uroczej okolicy u stóp rzymskiego Wezuwiusza. Z dala srebrzył się rąbek morza, na wzgórzu rozsiadło się starożytne miasteczko. Znużeni poходом przeszliśmy do restauracji, aby pokrzepić się wybornym winem Marino i smaczny mi plackami (maritozzi) nadziewanymi rodzynkami i pestkami piinii. Zwiedziwszy opustoszały na połę pałac Colonnów z XV wieku, poszliśmy na dworzec kolejowy i około 5-tej stąd wyjechawszy, byliśmy w godzinę niespełna w Rzymie. Tramwaje nieliczne kierowane są przez żandarmów i mają załogę wojskową. W domu zastałem list, który mię bardzo zmartwił. Oto dowiaduję się, że biedny Tatko, za wcześniej oddając się pracy i zrywając z żóžka, dostał recydywy ...

Dziś rano podczas sprzątania w pokoju wyszedłem na miasto, które przedstawia taki widok jak Lwów w roku zeszłym w czerwcu podczas rozruchów. Wojsko chodzi z bagnietami po ulicach, pełno policji i karabinierów, fiakra ani jednego, wiele sklepów zamkniętych, tramwaje ze spuszczoneymi storami drewnianymi, strzeżone przez jadące nimi wojsko. Kupuję gazetę i czytam, że wczoraj były walki uliczne. Strajkuje 50.000 robotników, zmobilizowano 25.000 żołnierzy. Niepokój w mieście, wszędzie słychać: „Sciopero generale”. Policja świetnie zorganizowana zapobiega ekscesom i pewnie nie dopuści do krwi rozlewu.

.....

Na drugi dzień o 8 1/2 rano czekałem na Dembińskiego na Piazza Venezia. Mieliliśmy razem pójść do Archiwum. Wkrótce też nadjechał tramwajem i piechotą poszliśmy przez Corso Emanuele do Watykanu. Dembiński, który był w Rzymie przed 18 laty, mówił, że ta dzielnica zmieniła się nie do poznania, gdyż wtedy były tu małe domki i wąskie uliczki, dziś stoją kilkupiętrowe kamieni-

ce a ulica jest znacznie rozszerzona. Gdyśmy przybyli na plac św. Piotra, Dembiński zaproponował mi zwiedzenie kościoła św. Piotra. Zgodziłem się na to i oprowadziłem go po kościele, przy czym miałem sposobność widzenia po raz pierwszy kaplicy Przenajśw. Sakramentu z grobowcem papieża Sykstusa IV. Stąd poszliśmy do Archiwum, gdzie Dembiński szperał sobie w jakichś aktach, a ja robiłem swoje. O 11 3/4, gdy Archiwum zamknięto, wyszliśmy i udaliśmy się do Muzeum Watykańskiego, które dziś jest bezpłatnie otwarte. Tu miałem sposobność okazać profesorowi moją znajomość sztuki rzymskiej i historii. Zdziwił się, gdym rozpoznał biusty kilkunastu cesarzy rzymskich i zapytywał się czasem coś z historii, na co zawsze umiałem dobrze odpowiedzieć. Uważam to za dobrą wróżbę.

Dość późno wyszliśmy z muzeum i pojechaliśmy tramwajem do niego. Mieszka profesor u pp. Maszewskich, którzy dopiero co otworzyli pensjonat polski, urządzone z wielkim komfortem. Ja p. Maszewskiego już od dawna znałem (prosilił mię nawet na śniadanie w dniu, w którym byłem w Ostii); pani M., młoda i przystojna osoba, bardzo gościnna. Siedziałem do stołu, przy którym prócz nas był p. Wysłouch z Królestwa. Śniadanie było wykwiintne, złożone z risotta, dwóch mięs, leguminy i karczochów, owoców, sera, wina etc. Po posiłku profesor się trochę zdrzemnął, a ja tymczasem byłem w ogródku, ślicznie kwiatami zasadzonym. Zbierał je dla mnie synek pp. Maszewskich, śliczny 5-letni chłopak, ale biedaczek oddychający przez rurkę (po krupie).

Po 3-ej pojechałem z Dembińskim do św. Pawła, ale nie zwiedziwszy kościoła poszliśmy dalej gościńcem do tzw. Tre Fontane, tj. klasztoru Trapistów, oddalonego od św. Pawła o jakie 3 km. Po pół godzinie drogi ujrzeliliśmy z dala malowniczą okolicę: wzgórze porośnięte gajem eukaliptusowym, a na tle jego w dolince zabudowania klasztorne. Śliczne to i zaciszne miejsce. Przyszedłszy tam, naprzód zwiedziliśmy kościół (z VII wieku) starożytny i poważny w stylu bazylikowo-romańskim. Następnie piękną aleją eukaliptusową poszliśmy do kapliczki, gdzie są trzy jakby ołtarze a właściwie studzienki. Źródleńka te wytrysły wedle legendy na miejscu gdzie ścięto św. Pawła, którego głowa w skurczu śmiertelnym tocząc się po ziemi, trzy razy podskoczyła. W rogu na prawo stoi słup, przy którym go ścięto. Na posadzce piękne stare mozaiki z Ostii. Z tego pamiątkowego miejsca udaliśmy się do trzeciej kapliczki, gdzie św. Bernardowi miała się ukazać podczas mszy św. drabina niebieska. Wracając wstąpiliśmy do klasztornej szynki (dziwisz się!). Oto oo. Trapiści wyrabiają z drzewa eukaliptusowego znakomite i sławne na świat całe (jak Chartreuse) likiery. Wypiliśmy więc po kieliszku tego przepysznego nektaru i wpisaliśmy się do książki, gdzie było wiele nazwisk polskich ...

Nadszedł czas Wielkiej Nocy. Władysław zwiedza Boże groby, które są tu inne niż u nas w Polsce, tak jak i zwyczaje.

... W ołtarzu wśród kwiatów wonnych i mnogich a ozdobnych stoi jedynie złota trumienka, mniej lub więcej oświetlona... W kościele polskim s. Sebastianello (Zmartwychwstańców) otrzymałem gałązkę oliwną. Tu bowiem rozdają je zgromadzonym w kościele, nie jak u nas kupuje się i daje święcić, ale też nasze ładniejsze, a tu zwykle gałązki ...

Pojechałem też do św. Piotra, aby się przysłuchać tzw. Tenebrom. Oto pod katedrą św. Piotra zasiadło grono kardynałów i prałatów, środek zajął liczny kler, po bokach chór męski i żeński?! (Dlaczego dają znak zapytania, to Ci wyjaśnię moja Lesiuniu po ślubie). Przy ołtarzu stał świecznik o 15 świecach. Po każdym odśpiewanym psalmie gaszono jedną świecę aż do ostatniej, poczem śpiewano w ciemności (tenebrae). W nawie bocznej siedział kardynał-Penitencjariusz na wysokim tronie otoczony gronem spowiedników i złotym prętem do 2 m długości uderzał wiernych, którzy chcąc uzyskać odpust podchodzili pod tron i klęcząc otrzymywali uderzenie po głowie. To wydało mi się trochę przesadzonym rytuałem i śmiesznym...

Ale nastrój stolicy chrześcijaństwa widocznie owłada ludźmi wrażliwymi, skoro pisze on w tym czasie:

Moja dusza czarna potrzebuje dobrego wyprania, ile żem się nie spowiadał bardzo dawno, bo ja dopiero podczas pobytu w Rzymie otrząsnąłem się z obojętności religijnej, w jaką byłem opadł po wielu przejściach duchowych. Chciałbym się wypowiedzieć jeszcze tu w Rzymie u św. Piotra, gdzie jest konfesjonał polski...

Równocześnie nadarza się sposobność zwiedzenia najnowszych odkryć w katakumbach, po których ofiarował się oprowadzić Polaków prof. Marucchi, najlepszy ich znawca i zarazem kierownik prac odkrywczych. Stosownie do umowy znalazł się Władysław w oznaczonym dniu o godz. 2-iej pod mieszkaniem wymienionego archeologa.

Zastąpiłem tam około 10 Polaków. Ja z prof. Dembińskim i drem Hadaczkim wsiadłem do jednego fiakra i cała polska kawalkata pojechała ku bramie Salaria. W pół godziny stanęliśmy u wrót kamiennych, gdzie czekało już na nas towarzystwo pań polskich (pp. Malinowskie, Jodko, Potworowskie etc.).

Katakumby, któreśmy mieli zwiedzić, są najstarszymi w Rzymie i w ogóle wedle ostatnich badań pierwszymi chrześcijańskimi. Jest to Ostianum, gdzie św. Piotr uczył i chrzczył. Nazywają

się katakumbami św. Pryscylli, która żyła w I wieku po Chr. i znała św. Piotra. Sienkiewicz w *Quo Vadis* przenosi Ostianum do katakumb św. Agnieszki na Via Nomentana. Wedle prof. Marucchiego nie św. Agnieszki ale św. Pryscylli katakumby są najstarsze i muszą być uważane za Ostianum. Wskazują na to freski, które pochodzą z czasów pompejańskich (najdawniejszy znany wizerunek Madonny i Eucharystii), a nadto odnaleziono tam istotnie basen z wodą, który jest właśnie owym baptisterium, gdzie chrzczył św. Piotr.

Cicho, poważnie, z woskowymi świecami w rękach, posuwał się nasz orszak w ciasnych korytarzach katakumb. O uczuciu, jakim serce wzbiera w tych miejscach pamiętnych obecnością męczenników chrześcijańskich, na widok tych świętych kości spoczywających w niszach ścian, ten tylko może mieć wyobrażenie, kto tam był. Nie tylko jako katolik doznaję tego uczucia, ale jako historyk, gdy wspomnę, że tym, którzy się tu gromadzili, dzisiejszy świat zawdzięcza cały swój ustrój, całą cywilizację. Tak! Katakumby można nazwać kolebką cywilizacji chrześcijańskiej. Prof. Marucchi dwie godziny oprowadzał nas po tych świętych miejscach, tłumaczył znaczenie kaplic, fresków i napisów, a z jego nader zajmującego wywodu wynikało niewątpliwie, że tu właśnie a nie gdzie indziej były pierwsze katakumby rzymskie, tzw. Ostianum.

Stąd część towarzystwa pojechała do katakumb św. Damazego, na przeciwny koniec miasta, w bliskości katakumb św. Kaliksta. Te zostały odkryte dopiero przed miesiącem i my byliśmy pierwsi ze zwiedzających. Pochodzą z IV wieku i są ciekawe z tego względu, iż zawierają wielki podziemny kościół marmurem wykładany, z kolumnami i trzema sarkofagami, które najprawdopodobniej zawierały szczątki papieża św. Damazego, jego matki i siostry.

Była to ostatnia wspólna wycieczka z prof. Dembińskim, który nazajutrz opuścił Rzym, a na odjeźdźnym ucałowałszy się serdecznie ze swym młodym towarzyszem, powiedział mi: „Dla mnie już się Pan niczego nie ucz. Masz Pan egzamin w kieszeni!”

Ponieważ zmęczenie znowu bierze górę, postanawia Władysław dojechać do skutku dawno już projektowaną wycieczkę do Neapolu.

Dnia 12 IV pisze już z Sorrento.

W niedzielę wstałem o 5-tej rano, ubrałem się, spakowałem potrzebne do kilkudniowej podróży przedmioty do małej torby i około 6-tej poszedłem na mszę św. do kapucynów. Wróciwszy spożyłem obfite śniadanie, które mi przygotowała troskliwa pani Senesi i pożegnawszy się pojechałem tramwajem na kolej. Po 8-mej wyruszył pociąg. Ja z Gselfelsem w ręku uważnie przypatrywa-

łem się okolicy i miastom, któreśmy mijali. A były to miejscowości historyczne, np. Monte Cassino, Aquino, Capus etc. Tak zapomniałem całkiem o żołądku i przyjechawszy do Caserty, gdzie się przeziada, uczulem głód (była 1-sza po poł.), ale niestety niczego nie mogłem dostać do jedzenia. Pojechałem dalej innym pociągiem i wnet zapomniałem o głodzie, bo pociąg wjechał w prześliczną okolicę u stóp Wezuwiusza. Pogoda była cudna, wulkan potężny oddychał kłębam dymu i pary, dając znać, że żyje. Pociąg okrężał go dokoła stóp. W Boscoreale ukazało się po raz pierwszy morze, prześliczne lazuruwe. Przybyliśmy do Castellamare (dawnego Stabiae, zakopanego przez Wezuwiusz w roku 79 po Chr.). Hr. Sierakowski zrobił mi zawód i nie przybył (Darowskiemu też coś przeszkodziło, także na szczęście rozmyśliła się i bar. Bauerowa), tak tedy muszę odbywać podróz samotnie, co odbiera połowę przyjemności. Gdy wyszedł z dworca na ulicę, kilkadziesiąt fiaków zaczęło na mnie psykać. Po krótkim targu wzięłem dwukonny powóz i pojechałem do Sorrento. Mój głód gdzieś się schował, a była to już 4-ta po południu.

Droga do Sorrento jest tak prześliczna, że we śnie nawet nie widzi się takich cudów natury. Wije się ona nad morzem, które mieni się tysiącem barw. Bliżej brzegu jest jasnoblękitne, prądkowane lazurem fałdów i fal. Dalej przybiera odcień ciemnofioletowy, a jeszcze dalej, gdzie słońce w nim się odbija, olśniewający srebrny blask. Na prawo morze, na lewo zaś niebotyczne wapienne skały, pokryte na stokach gajami oliwnymi i pomarańczowymi, a porośnięte zieloną trawą, wśród której czerwienią się maki, lewkonie i inne kwiaty, wonią nasycając powietrze. Mimo woli przypominam sobie piękny wiersz Goethego:

Znaszli ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa,  
Pomarańcz blask majowe złoci drzewa  
I wieńcem bluszcz ruiny dawne stroi —  
Gdzie buja laur i cyprys cicho stoi?

Zatoka Sorrento, to prawdziwy raj ziemski. Jechałem dwie godziny gościńcem, który to zniża się ku morzu, to wznosi na strome skały, po wiaduktach przerzuca się przez urocze doliny i przerywna malowniczą miejscowość, Vico equense. Przybyliśmy do Sorrento, które rozsiadło się w obszernej kotlinie nad stromym i wysokim brzegiem morza. Zajeżdżam do hotelu Lorelei, nie ma miejsca — w hotelu Londres nie ma miejsca, dopiero w hotelu Royal znalazłem pokój z pensją na całą dobę za 8 franków. Umywszy się, wyszedłem na tarasę hotelową, wzniesioną nad samym brzegiem morza, wysokim do 60 m. Co za boski widok: u stóp moich szumi morze, rozbijając swe wody o skały. Tam naprzeciw czerni się stożek wulkanu, otulony dymem niebieskawym. Na lewo bie-

łą się domy Neapolu, jeszcze dalej wśród morza odcina się ostry kontur Ischii. Usiadłem na krześle i puściwszy wodze myślom, długo marzyłem o moich Ukochanych, którzy nawet nie wiedzą, jakich doznają wrażeń.

Potem poszedłem zwiedzić miasto, czyste i schludne, wstąpiłem do kościoła, gdzie właśnie skończyły się nieszpory, a organista wygrywał sobie skoczne tańce, nakupiłem kartek i innych pamiątek i wróciłem około 7-mej do domu, zgłodniały jak wilk i troszczący się, żeby tylko można dużo zjeść. Nie zawiodłem się. Przy długim stole w wielkiej sali zasiadło do 40 osób. Stół zarzucony zielenią i kwiatami laku. Przy nim zasiadły kwiaty pań i panien, wśród których było i parę ostów — mężczyzn. Rozmowa toczy się w języku angielskim i niemieckim. Menu było następujące: 1) zupa (nieokreślonego smaku i barwy), 2) ryba, 3) polędwica z jarzyną, 4) pasztet z wątróbek w żelatynie, 5) szparagi, 6) indyk z sałatą, 7) lody ananasowe z leguminą, 8) pomarańcze i rodzynki zwijane. Do tego wino Sorrento i przepyszny szampan. Mój głód został aż nadto zaspokojony, a napoje trochę podnieciły abstynenta. Gdy nalano szampan, ktoś siedzący na najwyższym miejscu wznosił toast w języku angielskim. O ile się mogłem dorozumieć, na cześć gości. Moi sąsiedzi tręcali się kieliszkami na pomyślność Austri, a ja pijąc samotny pomyślałem sobie: Niech żyje Polska i moi Ukochani!

Wróciwszy do swego pokoju, zabrałem się do pisania listu, ale ten szampan poplątał mi myśli, więc odkładając pióro na jutro, poszedłem się przejść po tarasie nad morzem, którego teraz nie było widać; długo wsłuchiwałem się w jego usypiający szum i położyłem się ciepłym, wonnym powietrzem. Niebo pokryte było gwiazdami, które łączyły się na widnokręgu ze światłami Neapolu. Nad Wezuwiuszem ukazywał się czasami czerwony blask...

Następnie opisuje Władysław wyspę Capri, oczarowany m. in. piękną Łazurową Groty, oraz Neapol, a także oczywiście wycieczkę na szczyt panującego nad nim groźnie wulkanu.

Spałem wyśmienicie. Wstałem o 7-mej i po śniadaniu poszedłem do przedsiębiorstwa Cooka, aby wziąć udział w wyprawie na Wezuwiusz. Pogoda była jak w poprzednich dniach przecudna. Zebrało się tam już kilkadziesiąt osób, które kolejno odjeżdżały fiakrami. Po godzinnym prawie czekaniu kupiłem bilet za 21 franków i otrzymałem miejsce w powozie w towarzystwie niemieckiej rodziny, złożonej z ojca, matki i syna. Nie zawierałem z nimi znajomości i nie wszczynałem rozmowy, ale czytałem sobie po drodze Gsellfelsa. Jechaliśmy przez długie ulice Neapolu a potem miasteczko Portici, prześladowani ciągle przez żebrzące dzieci. Wre-

szcie dostaliśmy się po 2 godzinach na stok Wezuwiusza i serpentyną pomału wjechaliśmy w urocze gaje winne (Lacrima Christi). Gdy się skończyły gaje, zaczęły się pola lawy, wśród których serpentyna wije się aż pod stopy stożka. Przedstawiają się one jak olbrzymie zorane pola czarnoziemiu, chaotycznie poplątane i pomieszane skiby, obraz śmierci i zniszczenia.

Tak dojechaliśmy do obserwatorium meteorologicznego, wznoszącego się śmiało na wierzchu pierścienia górskiego, otaczającego stożek wulkanu. Stąd już tylko pół godziny do stacji tzw. funikularki, tj. kolejki linowej, która prowadzi na szczyt stożka. Tu obok stacji zjadłem obiad (słony), przy czym poznałem się z pewnym Anglikiem, który obok mnie siedział przy stole. Rozmawialiśmy częścią po włosku, częścią na migi. Po obiedzie udałem się na stację i wszedłem do wagonu, który mię poniosł szybko w górę. Długość kolei wynosi niespełna kilometr a pochyłość około 50°. Im wyżej, tym rozleglejszy i cudowniejszy widok na zatokę neapolitańską z jednej a Apeniny z drugiej strony. Po kwadransie jazdy byliśmy na górze, ale ujrzałem, że do szczytu jeszcze spory kawał.

Nic nie wspominałem dotąd o wybuchach Wezuwiusza. Jak sobie z gazet zapewne przypominacie, przed trzema tygodniami był wybuch silny, a od tego czasu ponawiają się co parę minut wybuchy słabsze, objawiające się z daleka jako wybuchające kłęby czarnego dymu. Otóż im bliżej byliśmy Wezuwiusza, tym te kłęby wydawały się nam silniejszymi i groźniejszymi. Wsiadłszy z wagonu funikularki, chciałem iść w górę, ale zatrzymała mię gromada chłopów, domagająca się zapłaty 4 lir. Są to chłopci wioski Resiny, mający istotnie prawo pobierania tej opłaty, która jest mniejszą, jeśli się idzie w kilka osób (dwie osoby płacą już tylko po 3.50). Właśnie ujrzałem parę małżonków, która oczekiwała kogoś, kto by się przyłączył do towarzystwa. Byli to naturalnie Niemcy ale przyzwoici (z Grazu). Otóż dowiedziałem się, że pan mąż już był na szczycie, ale jego żona jeszcze nie i czeka na kogoś, kto by jej towarzyszył. Ja więc ofiarowałem się zaraz, wiedząc, że mi się nic nie stanie, bo moja Lesia i tak nie widzi, że idę z cudzą żoną na Wezuwiusz i nigdy się o tym nie dowie. Ale gdzie mi tam myśleć o cudzej żonie, jak się jest u celu prawie kilkugodzinnej wycieczki.

Droga wiodła dość stromo pod górę, po ciepłym popiele, w którym nogi grzęzły po kostki. Podpierałem się parasolem, ale to niewiele pomagało. Po dobrym kwadransie chodu oznajmił mi przewodnik, że najlepiej byłoby tu zostać i stąd obserwować wybuchy, bo dalej nie bardzo jest bezpiecznie. Pani Niemka przestraszyła się tego i nie chciała iść dalej, ale ja poznałem się na wybiegu Włocha, któremu nie chciało się po prostu iść najstromej

kawałek w górę i powiedziałem, że skoro się jest zaledwie kilkanaście metrów od krateru i skoro idą inni, więc i ja pójdę. Niemka więc została a ja poszedłem dalej. Popiół stawał się coraz gęstszy i wydobywała się zeń biała para. Po kilku minutach stanąłem na szczycie krateru. Stałem na brzegu pierścienia krateru, którego średnica mogła wynosić paręset metrów. Z boku zagłębienia, bliżej mnie, wyrastał mały stożek popiołu, zaledwie kilka metrów wysoki, w którym był właściwy krater, tj. jama sięgająca wnętrza ziemi. Było to ode mnie odległe o jakie 30—40 kroków. Z jamy tej wznosiły się białe pary. Wtem usłyszałem grzmot podziemny i ziemia, na której stałem, zadrżała. Równocześnie buchnął z jamy kłęb czarnego dymu, za nim drugi i trzeci, coraz silniejsze, a nadto zaczęły wylatywać z głębi czerwone rozpalone bomby i kamienie oraz żwir drobny, które napowrót opadały do wnętrza krateru i na stoki stożka. Niektóre kamienie padały o parę kroków ode mnie a wiatr pędził dym w moją stronę, co mię tak przelekało, że co prędzej uciekłem i puściłem się pędem na dół, przy czym złamałem parasol. Całe przedstawienie wybuchu nie trwało kilku minut. Wróciłem do Niemki, która była w wielkim strachu, zwłaszcza że z kłębów dymu zaczął padać na nas drobny deszcz kamyczkowy. Wróciłem funikularką na dół, po czym powozem znów w towarzystwie Niemców do Neapolu.

Rzym, 21 IV.

Po zajmujących opisach przygód wycieczkowych, ten list będzie nudny, bo powróciłem znów do monotonnego trybu życia, który da się streścić w dwóch wyrazach: archiwum i nauka. Tylko w niedzielę po południu poszedłem przejść się na wzgórze Awentyńskie, gdzie wstąpiłem do bardzo dawnego a ciekawego kościółka św. Sabiny. Z powrotem oglądałem bliżej resztki pałacu Krescencjuszów z XI wieku, gdzie pozostały jeszcze obfite ślady bogatej ornamentacji. Powracając koło Forum i Colosseum, też po raz pierwszy dokładnie obejrzałem najpiękniejszy łuk rzymski: Konstantyna, którego rzeźby i reliefy pochodzą z jeszcze dawniejszego łuku cesarza Trajana. Za nim widać fontannę, zwaną Meta Sudana, która zdobiła front złotego pałacu Nerona, stąd się rozciągającego na całe wzgórze Sekwilińskie.

Po południu nie wychodziłem już nigdzie, tylko wieczór wygrywałem sobie reminiscencje z prześlizanej Toski, słyszanej w Neapolu.

23 IV.

Wczoraj złożyłem wizytę ks. biskupowi poznańskiemu, Likowskiemu, znanemu historykowi (napisał wielkie dzieło o Unii brzeskiej). Przybył on przed kilku dniami, aby poczynić przygotowania do pielgrzymki polskiej, która tu w przyszłym tygodniu przybywa z Księstwa. Przyjął mnie nader serdecznie, wypytywał się o



trzeba patrzeć do dokumentu, aby sprawdzić, czy kopista dobrze odpisał. Tak mi upłynęły trzy ranki. Po południu zaś nauka. Nie brakło i urozmaiceń. We wtorek popołudniu odwiedził mnie Hada-czek, po czym z nim poszedłem na ulicę, by przypatrzeć się armii włoskiej wracającej z dworca, gdzie witała przybyłego króla angielskiego. W środę rano idę do Archiwum, aż tu na Via Sistina widzę szpaler ludzi. Pytam o powód i dowiaduję się, że będzie przejeżdżał właśnie król. Istotnie nadjechał król włoski, a za nim Edward angielski w ekwipażach, otoczeni kirasjerami. Widok był nader malowniczy.

Ponieważ tramwaje z powodu ścisłu kursowały bardzo nieregularnie, więc obaczywszy omnibus zmierzający do Watykanu, dopędziłem go i stanąłem na platformie, gdzie stały dwie młode panie. Wtem usłyszałem mowę polską. Były to więc Polki. Gdyśmy przejeżdżali koło Panteonu, jedna z nich zapytała woźnicę, co to za gmach, a wtedy ja nie mogąc wytrzymać, objaśniłem je natychmiast, czym się ogromnie zrazu zmieszały, a potem ucieszyły, że spotkały Polaka. Dowiedziałem się, że cały omnibus wypełniony jest Poznańczykami — pielgrzymami. Co za miły zbieg okoliczności! Skarzyły mi się Panie, że ich wodzą po samych kościołach, a Forum i Palatyn tylko przebiegły, nic nie skorzystawszy. Wobec tego ja ofiarowałem się oprowadzić większe towarzystwo po tych miejscach, czym naturalnie ogromnie się ucieszyły i po przybyciu na plac św. Piotra oznajmiły mój zamiar księdzu, który ich oprowadzał. Wszyscy się nader ucieszyli moją propozycją, a ja wyznaczyłem im dzisiejsze popołudnie.

Ranek spędziłem więc na nauce a po obiedzie poszedłem do jednego z hoteli na Via Tritone, gdzie się zebrało około 20 osób, które pod moim przewodnictwem poszły na Kapitol, skąd rozlega się widok z góry na Forum. Tu przedstawiłem pokrótce dzieje najdawniejsze Rzymu, ilustrując je przepysznym widokiem żywym kolebki jego, po czym szczegółowo oprowadziłem ich po Forum i Palatynie. Nie było końca dziękcom, gdyśmy wrócili do domu. Dwaj księża podali mi swoje adresy i serdecznie zapraszali do siebie do Wielkopolski. I mnie było przyjemnie, że mogłem pomówić po polsku i podzielić się mymi wiadomościami, ale trochę już jestem zmęczony...

... Dr Zakrzewski, młody historyk, który był w Rzymie przedemną, przysłał mi dwie rozprawy o kościołach św. Klemensa i Bonifacego w Rzymie. Znajduje między nami związek co do fundacji, a nadto pewien związek z Polską. Aż rwie się dusza do podobnego opisanie i opracowania kościoła św. Stanisława i Salwatora w Rzymie, który jest niewątpliwie w związku z katedrą krakowską. P. Zakrzewski był jednak w szczęśliwszym położeniu ode mnie.

Nie miał egzaminu na głowie i był tu z żoną, a nawet z dzieckiem. Wynajęli sobie pokój w taniej okolicy i prowadzili w domu gospodarstwo. Ale niechaj ja się pozbędę egzaminu — wtedy odżyję na nowo...

— 4 V.

Prof. Abraham pozwolił mi wracać już 6-go. Czekam jeszcze na odpowiedź z Akademii, pieniądze na drogę od niej i kolejową legitymację z gimnazjum<sup>16</sup>. Jeśli te trzy rzeczy (i zwłaszcza dwie ostatnie, bo co do pierwszej jestem pewny) przyjdą do środy, to dnia tego wieczór wyjadę, aby zwiedzić Florencję; jeśli nie przyjdą, to muszę czekać, nie ma rady.

Ostatnie dni zeszyły mi na nauce, archiwum i wizytach, które mimo chęci musiałem poskładać.

Ach, to pakowanie! Teraz widzę, jaki jestem niepraktyczny, nie mogę dać sobie rady. Okropnie się zmęczyłem, nimem poskładać rzeczy do kosza... ciągle czegoś zapomniałem... No! ale się już jakoś zrobiło i jutro wyślę kosz.

9. V.

Proszę sobie wyobrazić moją niepewność i troskę kilkudniową. W końcu dziś po południu otrzymałem „liry”, a więc wieczór o 11-tej wyjeżdżam...

Eviva! L'esilio finito! Radość ogromna.

W chwili, gdy piszę te słowa, mija pół roku od czasu, gdyśmy ostatnie myśli nasze ustnie wymieniali, a trzy ćwierci roku od czasu, gdyśmy sobie naszą wzajemną miłość powiedzieli. Lecz jakże odmienne uczucia przenikają dusze nasze dziś a przed pół rokiem. Gdy wtedy smutek łzami nam oczy napełniał, dziś one błyszczą radością, że się wzajemnie znów zobaczą. Gdy wtedy myśl przygniatała ogrom czasu rozłąki, dziś czas ten poza plecyma a przed nami chwile radości i szczęścia.

Góruje więc w sercu mym uczucie radości z powodu powrotu do Ojczyzny i do moich Najukochańszych. Ale nie mogę ukryć wyznania, że tam na dnie serca ukrywa się i pewne uczucie żalu za miejscem, które opuścić muszę. Bo nie wiem, czy poza ukochaną Polską znajdzie się kraj, do którego bym się mógł przywiązać. Nie! to jest wykluczone — ale nie wiem, czy mógłbym polubić jakąś obcą ziemię i przyłgnąć do niej tak, jak do pięknej Italii. Toteż z pewnym żalem ją żegnaj i mimo woli myślę w duszy: kto wie, czy Cię kiedyś jeszcze oglądać będę ziemio, któraś mi ty-

<sup>16</sup> Wł. Semkowicz pracował w czasie studiów uniwersyteckich w latach 1899/1900 jako aplikant w Krajowym Archiwum Akt Grodzkich i Ziemijskich we Lwowie, zaś od r. 1901 był zastępcą nauczyciela w III Gimnazjum im. Franciszka Józefa, skąd otrzymał płatny urlop na czas zleconych mu przez Akademię Umiejętności badań w Rzymie.

le dała rozkoszy i zachwyty, któraś twymi świętymi pamiątkami podniosła moje zwątpiałe uczucia, której dziejowym zabytkom pogańskim i chrześcijańskim zawdzięczam tyle nowych wiadomości, która w ogóle wpłynęła na zmianę poglądów moich na świat i na życie. Tak, nie ukrywam tego, że jeśli Bóg pozwoli, jeśli nie przeszkodzą temu obowiązki rodzinne i zawodowe, wrócę do tej ziemi, na której tyle chwil pięknych przeżyłem, ale już nie sam, lecz z Tobą Najdroższa. Prawdziwie odczuwa się szczęście wtedy, gdy się nim z drugimi dzieli, a tym bardziej z osobą ukochaną, której powierza się myśli wszystkie, w której się czuje cząstkę własnej istoty.

---

Od roku 1926 jako przewodniczący Komisji Historycznej Polskiej Akademii Umiejętności stał się prof. Władysław Semkowicz zarazem przewodniczącym omówionego tu Komitetu Ekspedycji Rzymskiej, sprawując także pieczę nad Rzymską Stacją Naukową tejże Akademii